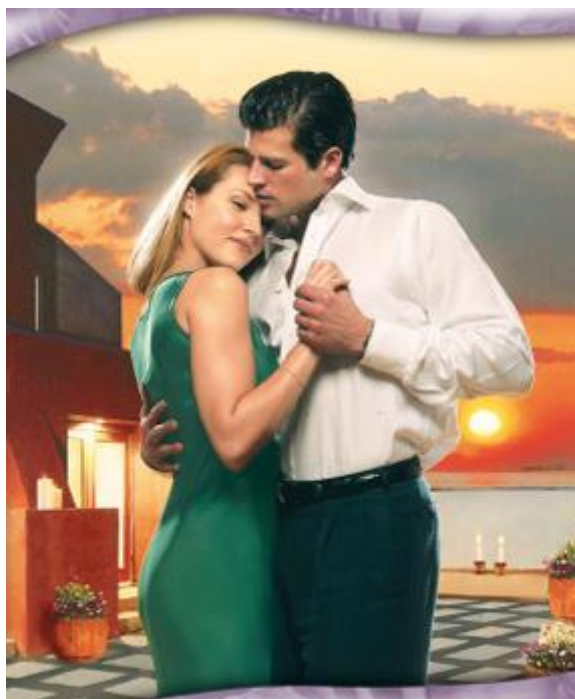




**Melissa James**



*Więcej niż cud*

## **ROZDZIAŁ PIERWSZY**

- I wyprawili huczne wesele, a potem żyli długo i szczęśliwie w jego pięknym zamku. - Samantha Halloway zamknęła książkę i spojrzała na córeczkę. - Pora spać, królewno.

Dziewczynka szeroko ziewnęła, po czym przeniosła senny wzrok na matkę. Miała takie same piwne oczy jak jej ojciec. Piękne, a mimo to smutne.

- Kochasz mnie?

- Najmocniej na świecie - odparła Samantha poruszona. Rozczulona patrzyła na uśmiechniętą twarzyczkę, na dołeczki w jej policzkach. To też ma po ojcu.

- Dobranoc, mamusiu. - Dziewczynka odmówiła modlitwę, po czym spokojnie zasnęła.

Sam odłożyła na półki książeczkę oraz pluszowe zwierzątka, po czym obeszała mieszkanie. W jej przypadku porządek nie był luksusem ani obsesją, lecz zwyczajną koniecznością. Bo dla dziecka niewidomego nieład to śmiertelne zagrożenie.

Jakiś czas później znalazła się w swoim pokoju. Z westchnieniem ulgi podeszła do okna, skąd poza koronami drzew rozciągał się widok na rozgwieżdżone niebo, i delektowała się ciszą i spokojem.

Ten czas należy do niej, teraz pora żyć.

Ale nie mam nikogo, z kim mogłabym spędzać te godziny.

Przestań! Tobie, jak i Casey, nie wolno litować się nad sobą. Zrelaksuj się w hamaku na werandzie. To dobrze ci zrobi. Trzeba myśleć pozytywnie...

Z ulgą zrzuciła na podłogę cienką sukienkę, a potem kremową koronkową bieliznę, jej jedyne ustępstwo na rzecz kobiecości, ale moment później wpajane latami nawyki wzięły górę: przełożyła ubranie na łóżko. Przeciągnęła się leniwie, potrząsając włosami, by pozbyć się bagażu odpowiedzialności, który dźwigała przez

cały dzień. Kochała Casey nad życie, ale cieszyła ją każda chwila wolności. Teraz jest tylko ona i ta słodka letnia noc.

Uwielbiała chodzić w skąpym przyodziewku po pograżonym w mroku mieszkaniu, rozkoszując się powiewem wiatru wpadającego przez otwarte okna. Rozwiesić hamak i położyć się w nim z zimnym drinkiem! Dopiero teraz, żeby Casey na niego nie wpadła i nie zrobiła sobie krzywdy.

O tej porze ziemia falami oddaje ciepło skumulowane w ciągu dnia. Skóra Sam każdym porem przejmowała tę energię, rytm, rosnące ciśnienie, czekanie na burzę.

Przybierające na sile burzowe pomruki drażniły jej zakończenia nerwowe obietnicą błyskawic, a połyskująca tafla wody w podświetlanym basenie szeptała jej imię. Jakiś czas temu zdecydowała się wynająć dom z bezpiecznym, ogrzewanym słońcem basenem. Tłumaczyła to potrzebami Casey, ale w głębi serca przyznawała, że zrobiła to także z myślą o sobie. Tylko pływanie pomagało jej zrelaksować się po obowiązkach dnia.

Idealny wieczór na kąpiel: księżyc w pełni i rozgwieżdżone niebo, po którym przetaczają się ciężkie chmury. Przyjemnie byłoby się w nich zanurzyć, wtopić się w noc. Koniec ze wspomnieniami.

Casey ma tylko ją, więc nie wolno jej ryzykować jak wtedy, gdy było jej wszystko jedno, dopóki Casey nie nadała jej życiu sensu, wypełniając je miłością.

Dwadzieścia, może trzydzieści długości basenu rozładuje jej napięcie, pomoże jej wrócić do rzeczywistości. Nie chciała nawet przed sobą się przyznać, że chce uwolnić się od myśli o nim.

Minutę później przebrana w niebieski kostium kąpielowy wskoczyła do basenu. Jak się zmęczy, to przestanie myśleć o głupstwach. Czowała się strasznie samotna, a on wydał się jej rycerzem na białym koniu, który wybawi ją z izolacji. Miała przed oczami jego roześmianą twarz, gdy szef przedstawił go jej podczas spotkania towarzyskiego nad basenem w swojej luksusowej willi.

- Samantha, poznaj Bretta Glennona, mojego nadwornego lekarza. On cię obserwuje od dłuższego czasu.

Brett posłał jej promienny uśmiech, ale ona mu się nie odwzajemniła. Miała dwadzieścia dwa lata i była zmęczona życiem. Spodziewała się jakiejś banalnej uwagi o zrządzeniu losu.

- Nie mogłem się oprzeć tak pięknej parze stóp - powiedział. - Moje stopy zżera zazdrość. - Niespodziewanie zdjął buty, nie zwracając uwagi na zdumione spojrzenia elegancko ubranych gości.

Jego uśmiech kompletnie ją wtedy rozbroił. Od pierwszej chwili czuła się w jego obecności wyjątkowa, a jego optymizm podnosił ją na duchu. Z Brettem życie nie było ani poważne, ani tragiczne. Przy nim była sobą, młodą kobietą u boku mężczyzny, który pod maską chłodu dostrzegł w niej przestraszoną dziewczynkę.

Był śmiechem, którego zabrakło w jej sterylnym świecie, opiekuńczością, której nie było w domu dziecka, a w noc poślubną pokonał jej lęki i wprowadził do świata namiętności, o której czytała, ale nie pojmowała. Przez pięć cudownych miesięcy był jej światłem, jej miłością, dla której warto było codziennie wstawać z łóżka. Był dla niej wszystkim.

Potem zniknął, a wraz z nim zgasło słońce. Wróciła nieufność, gniew i mroczna pustka domów dziecka oraz całego ciągu rodzin zastępczych. Nicość. Brett ją porzucił.

Przez krótki czas czuła się kochana, albo tak jej się wydawało. Czasami wolałaby nigdy tego nie doświadczyć.

Prawdę mówiąc, nie zostawił jej samej. Dał jej bezcenny skarb, za który codziennie dziękowała Bogu. Casey była w jej oczach doskonała, była jej córeczką, jedyną bliską osobą. Przez sześć lat walczyła o to, by nikt ich nie rozdzielił. David i Margaret Glennonowie są niezaprzeczalnie dziadkami Casey, ale dostaną ją po jej trupie.

Nie myśl. Pływaj.

Mąż już dawno zniknął, więc zostały jej tylko wspomnienia. Mimo to ciągle go jej brakowało, tej bezwarunkowej miłości mężczyzny, który poznał ją na wylot.

Tęskniła za tym, co nie wróci...

Płyń. Mocniej uderzaj ramionami. Dwadzieścia. Dwadzieścia dwa.

Na co komu takie piękne wspomnienia? Gorzko-słodkie, bolesne jak to, co powiedział po ich pierwszym pocałunku. Roześmiany zaskoczył ją za palmami otaczającymi basen, ale było w nim coś, co kazało jej zapomnieć, że narzuciła sobie dystans wobec mężczyzn.

Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, Brett się nie śmiał.

- Dlaczego nie było mi dane poznać cię za trzy lata? - W jego głosie brzmiała nuta gorzkości.

Nie myśl o tym, płyń. Masz jeszcze tylko...

- Hej, Sam...

Zatrzymała się w miejscu. Przesłyszała się?

- Brett... - wykrztusiła.

- Tak, to ja. - Męski silny głos, ale zimny jak lód. - Odnalazłem cię, mimo że zrobiłaś wszystko, żeby się ukryć. Podobno mam córkę. Chciałbym ją poznać.

Podpłynęła bliżej werandy, skąd dobiegał głos. Nie, to nie Brett. On...

Nie, najwyraźniej nie leży w bezimiennym grobie za linią wroga w jakimś targanym wojnami afrykańskim kraju. Stoi przed nią żywy mężczyzna. Wpatrywała się w niego, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

- Brett? - Nie mogła się otrząsnąć.

On... żyje.

- Cześć, Sam. - Wszedł z mroku i stanął w świetle basenowych lamp tak, że zauważyła w jego oczach z trudem hamowane emocje. Drżąc na całym ciele, po omacku chwyciła się drabinki.

- Brett... - powtórzyła.

- Tak, to ja. - Nie okazał zniecierpliwienia, ale jego głos był beznamiętny.

- Ale... - Tak gwałtowny przeskok od marzeń do rzeczywistości sprawił, że język jej się plątał. - Afryka... Mbuka... Kiedy...?

Rysy mu stężały.

- Jeśli pytasz, kiedy wróciłem do Australii, to odpowiadam: dwa lata temu. - Uniósł rękę, w której coś trzymał. To kula. - Dopiero tydzień temu lekarze zezwolili mi na podróż.

Dwa lata. On od dwóch lat jest w Australii, a ona o tym nie wie. Ma go za zmarłego. Poczula, że robi się jej słabo. Oparła głowę o stopień drabinki, ale za nisko, i zachłysnęła się wodą. Zanosząc się kaszlem, z całej siły chwyciła się poręczy, jakby od tego zależało jej życie. Nagle para silnych ramion wyciągnęła ją na brzeg.

- Mam nauczkę, że nie wolno zaskakiwać kobiet w basenie - mruknął nad jej uchem. - Jako lekarz powinienem o tym wiedzieć.

Sześć lat przykrych snów, samotności, unikania ludzi, a teraz Brett jest tutaj, trzyma ją w ramionach. Brett...

Były takie dni, takie bezsenne noce, kiedy myślała, że oddałaby życie za to, żeby się zjawił, żeby jej dotknął, pokazał jej, że nie jest sama. Osunęła się na kolana, ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała.

- Sam... - Stał tak blisko, że czuła zapach jego wody po goleniu. - Wiem, że to szok, ale tylko tak mogłem to zrobić. Bez ostrzeżenia. - Nieśmiało pogładził ją po ramieniu.

- Nie dotykaj mnie - wykrztusiła przez łzy. Bardzo tego pragnęła, ale po sześciu latach, które wymagały od niej nadludzkiej siły i niezależności, poczuła się bardzo słaba.

Kłęczysz u jego stóp? I to nazywasz siłą?

- Skoro sobie tego życzysz... Ale czy możesz się ubrać?

O kurczę. Popatrzyła po sobie. Jej wysłużony kostium w kilku miejscach był przetarty, praktycznie przezroczysty. Wyciągnęła rękę po pareo i pospiesznie się

nim zasłoniła, po czym przeniosła wzrok na Bretta. Wyczuła, że z trudem nad sobą panuje.

- Idź się ubrać, Sam. Już dawno... przynajmniej ja... a ty jesteś najpiękniejszą kobietą pod słońcem.

W poczuciu winy splotła ramiona przed sobą.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytała, szcękając zębami.

Nie odrywał wzroku od jej twarzy.

- Drżysz w taką upalną noc... jesteś w szoku. Wytrzymaj się i ubierz, bo się rozchorujesz.

Czym prędzej ruszyła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz, by zapanować nad nerwami. Nie mogła pozbierać myśli. Teraz czuła tylko strach. Sięgnęła po ręcznik.

- Sam? Wszystko w porządku? Dlaczego tak długo nie wychodzisz?

Wzięła się w garść.

- Jeszcze chwila.

Włożyła bieliznę, sukienkę, drugim ręcznikiem wytarła włosy. Czas, musi mieć czas do namysłu...

Za drzwiami czeka jej mąż, który rzekomo umarł.

Wszedłszy do salonu, zapaliła światło na przekór zmysłowemu aksamitnemu mrokowi nocy i wspomnieniom. Zbyt pięknym, by mogli o nich zapomnieć, zbyt niebezpiecznym, by je pamiętać.

Brett stał oparty o framugę oszklonych drzwi prowadzących na werandę.

Pewne rzeczy się nie zmieniają. Znowu miał na sobie obcisłe džinsy i czarny T-shirt. Był nieogolony, co w jej oczach zawsze czyniło go pociągającym.

Gdy go lepiej poznała, zorientowała się, że ma przed sobą chłopaka, którego zmuszano, by nosił markowe ubrania i zawsze nienagannie się prezentował, jak przystało na członka rodziny sędziego Glennona. Lecz Carlton Brett Glennon, mimo

że bardzo kochał swoich opływających w dostatki rodziców, zbuntował się już jako nastolatek.

Od pierwszego dnia ich znajomości wywarł na niej ogromne wrażenie, bardziej dbając o dobro pacjentów niż o swój wizerunek lub markę samochodu. W przeciwieństwie do swojej rodziny potrafił kochać i szanować innych. Tak było przynajmniej do jego wyjazdu do Mbuki, małego afrykańskiego państewka, z ekipą Lekarzy dla Afryki, mimo że jego bliscy oczekiwali, że zajmie poczesne miejsce wśród elity chirurgów w Melbourne.

Czy nadal tego pragnie? Czy spełni marzenia rodziców i znajdzie się na liście najlepszych?

Otrząsnęła się. Niezależnie od tego, jaki był, gdy ją pokochał, teraz wszystko wygląda inaczej. Nie jestem już tą dziewczyną, która uciekła przed pogrózkami klanu Glennonów! Tym razem będzie walczyć!

Zauważyła, że pod opalenizną Brett jest blady i że często zmienia pozycję, jakby chciał zmniejszyć ból w nodze.

- Usiądź. - Całym sercem mu współczuła. - I oprzyj na czymś nogę, jeśli cię boli.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Uważaj, bo pomyślę, że ci na mnie zależy. Najpierw się rozplakałaś, a teraz przejmujesz się nogą. - Pokuśtykał w stronę kanapy, którą kupiła w składzie z używanymi meblami, i opadł na nią z westchnieniem ulgi.

Czar prysł. Brett wydał się jej bliski i zarazem obcy. Nie zna tego człowieka, a łączące ich wspomnienia sprawiają, że poczuła się niezręcznie. Kim są teraz?

Rodzicami Casey.

- Co ty kombinujesz, Brett? - Zabrzmiało to szorstko, ale Brett wyglądał tak samo jak mężczyzna, którego pokochała, ten, który przywrócił jej chęć do życia, nauczył ją żyć, śmiać się i kochać.



Musi wyprzeć te wspomnienia. Brett jest ojcem Casey, ale jednocześnie należy do klanu Glennonów. Na pewno nadal jest w zażyłych stosunkach z rodzicami, bo zawsze tak było.

A jego rodzice grozili jej, że udowodnią w sądzie, że nie będzie dobrą matką i siłą odbiorą jej Casey.

Nie interesuje ich, że zostanie sama. Dla nich najważniejsze jest to, że Casey to ich krew, że należy się jej więcej niż matka sierota bez grosza przy duszy, która może dać jej tylko miłość. Chcieli, by urodziła Casey, a potem zniknęła. Czy to dlatego Brett jej szukał?

Przyjechał odebrać Casey?

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Samantha zamyka się w sobie. Wydawało mu się, że jest na to przygotowany, przecież już tego doświadczył, ale był przekonany, że pomógł jej pokonać kompleksy wyniesione z dzieciństwa. Jednak najwyraźniej jego wizyta ją przeraziła.

Jedynie, co go trzymało przy życiu, to nadzieja, że Sam ucieszy się, że nie umarł. Że rzuci mu się w ramiona, ale ona nawet nie życzyła sobie, by jej dotykał.

Czy to znaczy, że wolałaby, by nie żył? Dlaczego?

- Nic nie kombinuję - odparł urażonym tonem. - To ja nie dostałem od ciebie ani jednego listu, kiedy w końcu udało mi się poinformować rodzinę, że żyję. To ja czekałem na telefon, to ja szukam cię od dwóch lat. - Na moment zacisnął zęby. - Od rodziców wiem, że mam dziecko, ale żeby dowiedzieć się, że mam córkę, musiałem wynająć detektywa.

Odwróciła wzrok, grzebiąc bezmyślnie w głębokich kieszeniach sukienki. Nic się nie zmieniła. Ma te same rozpuszczone jasnoblonde włosy i jest bosa. Jak wtedy, kiedy w żartach nazywał ją hipiską. Taką ją pokochał: bosonogiego anioła, swoją

słodką nonkonformistkę. Na przyjęciu, na którym ją poznał, zdjęła sandały, i to go w niej zafrapowało. W otoczeniu snobów, którzy musieli nawzajem sobie imponować, jawiła się jak piękny duch wolności.

Prawdopodobnie nadal łączy ich niechęć do imponowania komukolwiek lub udawania, że jest się kimś innym. Co jeszcze ich łączy? Czy on już jej nie zna?

- Sam, mogłaś chociaż zostawić adres kontaktowy. - Starał się zachować spokój i powstrzymać bicie serca. Złością i oskarżeniami niczego nie osiągnie. - Wiadomość, że nie żyję, sprawiła ci taką ulgę, że od razu o mnie zapomniałaś?

- Nie wiesz, przez co przesłałam - odparła ledwie słyszalnym szeptem. - Może byś wtedy zrozumiał, że oplakując śmierć męża, którego prawie nie znałam, doszłam do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie zacząć wszystko od nowa. - Siłiła się na sarkazm, ale jej się to nie udało.

Sam nie potrafi być sarkastyczna, pomyślał z czułością. Ale moja Sam też nie była tchórzem.

- Zmieniając nazwisko i nie zostawiając adresu? Nie przyszło ci do głowy zapytać moich rodziców albo zwrócić się do Lekarzy dla Afryki z zapytaniem, czy może jednak żyję? Nie pomyślałaś, że straciwszy mnie, mogą potrzebować Casey, albo że jej przydałaby się świadomość, że ma ze strony ojca liczną rodzinę?

- Mam za mało doświadczeń z kochającymi rodzinami, żeby o tym pomyśleć. Przykro mi. - Nie przemawiała przez nią gorycz, lecz rezygnacja. Kryły się za nią inne silne emocje, których nie chciała okazać. Kiedyś dzieliła się z nim każdą myślą, lękami, złymi wspomnieniami.

Nie widzieliście się sześć lat, jątrzył jakiś jego wewnętrzny głos. Czego się spodziewałaś? Że kiedy twoje życie się rozsypało, dla niej czas się zatrzymał? Westchnął.

- Wydawało mi się, że argumentem mogło być twoje dzieciństwo. Nareszcie miałaś rodzinę. Moi rodzice przyjęli cię z otwartymi ramionami...

- Chociaż byłam biedną jak mysz kościelna sierotą i nie zasługiwałam na zainteresowanie młodego Glennona.

O co jej chodzi?!

- Nigdy tak o tobie nie myślałam.

- Wiem - powiedziała bezbarwnym tonem.

Co ona ukrywa?

- Przecież moi rodzice dobrze cię traktowali. - Patrzył jej w oczy.

Przez jej twarz przebiegł cień.

- Tak, dobrze mnie traktowali.

Cholera, dzieli ich znacznie więcej niż ten pokój. Czuł się jak żołnierz, który w pojedynkę wtargnął do strzeżonej fortecy.

Na nic marzenia, które przez dwa lata trzymały go przy życiu w Mbuce. Dzięki nim przetrwał mroczne i samotne chwile. Wolał nie myśleć, jakim cudem przetrwał, koncentrował się na powrocie do Sam. Była jego nadzieją, radością, przyszłością, jedynym powodem, dla którego było warto co rano wstawać z łóżka, by ratować ludzi, którzy mogą nie dożyć następnego dnia. Żeby przeżyć jako jeniec wojenny, oszczędzony tylko z powodu pożytecznego zawodu. Czasem musiał leczyć ludzi, którzy tak nisko cenili życie, że dla jedzenia byli gotowi zabić własną matkę.

W wioskach, prowizorycznych obozach, na pustyni i w dżungli obietnica tej chwili była jego jedyną nadzieją.

Powrót do Australii nie uwolnił go od koszmarów sennych, drżączki, okresów oderwania od rzeczywistości.

W trakcie dwuletniej rehabilitacji po rekonstrukcji kolana oraz leczenia nawracających infekcji trzymał się tego blaknącego marzenia jak tonący brzytwy. Rozpaczliwie walczył z demonami zwątpienia i ich podszeptami: „Kiedy dzwoniłeś z Afryki, nigdy jej nie było w domu, a jak już z tobą rozmawiała, to z przymusem, co wprawiało cię w przerażenie. Zapomniałeś?”

Odrzucał te sugestie. Sam nie zostawiła go na lodzie. Przecież byli tacy szczęśliwi! Kiedy ją odszuka, być może nareszcie odnajdzie swoje miejsce, bo ono jest przy niej.

No cóż, odnalazł ją i teraz widzi jej reakcję. Z całej siły powstrzymuje się, żeby nie pochwycić jej w ramiona i zapomnieć o koszmarach przeszłości, ale ona robi wszystko, by trzymać go na odległość. Narzucić dystans emocjonalny oraz fizyczny. Okazuje się, że rodzice mieli rację: uciekła od niego, była zadowolona, że umarł. Rozpoczęła nowe życie w Sydney, zacierając za sobą ślady tak skrzętnie, że szukał jej niemal dwa lata. Zapomniała, ile dla siebie znaczyli?

Dziecko na pewno jest jego. Widział zdjęcia dziewczynki o imieniu Casey. Ma jego oczy i dołeczki w policzkach. Sam nie może temu zaprzeczyć. Jeśli będzie trzeba, zażąda badania DNA. Nie, nie zrobi jej tego, bo to jego Sam, kobieta, której oddał serce i całą swoją przyszłość. Nawet w najgorszych snach nie uwierzyłby, że Sam potrafi być tak uparta i samolubna, by zniknąć bez śladu, żeby odebrać jego rodzicom rodzoną wnuczkę.

- Co się stało? - Wyrwała go z zadumy. - Z nogą.

Tyle czasu przebywał w strefie walk, nieraz patrzył śmierci w oczy, a ona pyta o nogę? Sam, co się dzieje? Co cię tak zmieniło?

Przygnębiony wzruszył ramionami. Jeśli ma pokonać jej bariery, musi wyzbyć się swoich. Boże, czy kiedykolwiek zapomni o Mbuce? Jedna noc przespana bez środków nasennych, by odegnąć sny, by nie budzić się, krzycząc jej imię, to wielki sukces.

- Brett... - odezwała się ostrożnie, a on zorientował się, że nie udało mu się opanować drżenia.

- Snajper mnie postrzelił. - Jeśli nie ograniczy się do minimum informacji, znowu będzie miał koszmary. - Jedno z plemion blisko granicy z Kongiem potrzebowało lekarza. Tym razem miałem zerwane więzadła i strzaskaną rzepkę, a potem wdała się infekcja. Ale tamtejszy watażka nie potrzebował rannego lekarza,

więc porzucili mnie na drodze, skąd zgarnęli mnie uciekinierzy. Opatrzyli mnie, jak umieli, i przekazali wolontariuszom z ONZ, którzy z kolei przewieźli mnie do szpitala polowego.

W jej oczach dostrzegł przerażenie.

- I to wtedy... zaginałeś?

Przytaknął. Powinna się o tym dowiedzieć, żeby zrozumieć, dlaczego nie dzwonił.

- Takie ryzyko zawodowe podejmuje każdy lekarz pracujący na terenach objętych wojną - wyjaśnił. - Upłynęły dwa lata, zanim udało mi się wymknąć pierwszemu watażce, ale schwytali mnie po raz drugi.

- Dlaczego media o tym milczały? - wyszeptwała. - Twój ojciec ma szerokie znajomości. Dlaczego informacja o twoim zniknięciu nie dotarła do mediów? Dlaczego cię nie szukano?

- Nie podpisywałem kontraktu w ciemno, wiedziałem, że mogę zostać zastrzelony lub wzięty do niewoli. Nikogo tu nie można winić. - To znaczy, że i Sam jest bez winy, więc nie można mieć do niej pretensji, że uwierzyła w jego śmierć. A jednak miał do niej żal. Ona go kochała. Dlaczego w odróżnieniu od matki i ojca jej tej wiary zabrakło?

- Nikt nie sprawdzał, czy cię tam nie ma? To nie fair wobec rodziny!

- Tam trzeba ratować żywych. W strefie działań wojennych granice zmieniają się każdego dnia. Tam nic nie da się sprawdzić. - Posłał jej zmęczony uśmiech. - Jestem pewien, że usłyszeliście rutynową formułkę: „Jest wprawdzie bardzo niska szansa, że on żyje, ale wy nie rezygnujcie z normalnego życia. Niczego nie można wykluczyć”.

Przygryzła wargę i pokiwała głową.

- Ja w to... uwierzyłam. Musiałam wyjechać. Twój rodzice byli tacy.

Westchnął.

- Gdyby ojciec mógł pojechać i kogoś tam przycisnąć, nie omieszkałby tego zrobić. Ale on porusza się na wózku. Miał kilka udarów. - Przeniósł na nią spojrzenie. - Pierwszy tydzień po tym, jak zniknęłaś.

- Przepraszam, Brett. Nie wiedziałam.

- Wiedziałaabyś, gdybyś u nich została - Nie krył wzburzenia. - Pomogłabyś im w trudnych chwilach. Pozwoliłabyś im cieszyć się wnuczką. Nie zmieniłabyś nazwiska i nie ukryła mojej córki przed rodziną... jej rodziną, której bardzo zależało na tym, by ją poznać i pokochać.

Czekał na odpowiedź. Z doświadczenia wiedział, że jeśli nie będzie napierał, Sam zacznie mówić. Tak było, kiedy go kochała i darzyła zaufaniem. Teraz jednak sporo czasu mu zajmie odzyskanie tego zaufania.

To dotyczy nas obojga, uznał ponuro. Tak czy owak, muszą poważnie porozmawiać, oboje muszą się zastanowić. Gdy tułał się po Mbuce, przy życiu trzymała go wiara, że Sam będzie tą samą dziewczyną, którą pokochał tak mocno, że poślubił ją po zaledwie dwóch miesiącach znajomości. Lecz ona się zmieniła nie do poznania. Teraz nie był pewien, czy ta piękna, ale zamknięta w sobie kobieta, to ta sama ukochana Sam.

- Kawa? - zapytała, żeby przerwać milczenie.

- Jeżeli masz dekafe. - Kofeina o tej porze pobudziłaby jego umysł, wywołując wizje, które wymagałyby zażycia silnych środków uspokajających.

- Oczywiście. - Z wyraźną ulgą wyszła z salonu, zapewne żeby zebrać myśli.

Brett ze zdziwieniem stwierdził, że i jemu przyda się czas na zastanowienie. Wydawało mu się, że wie doskonale, co jej powie, ale gdy ujrzał ją w basenie, poczuł, że ma pustkę w głowie. Masował obolałe kolano. Niedługo powinien wziąć środek przeciwbólowy, ale chciał zachować przytomność umysłu. Czuł się tak samo zagubiony i samotny jak w afrykańskim buszu.

Przez kilka lat jego światłem w tunelu była perspektywa powrotu do Sam. Ale ten tunel się zawalił, Brett poczuł się tak, jakby nagle znalazł się na

emocjonalnym polu minowym. Nie wiedział, co zrobić lub powiedzieć, by przywołać z powrotem tamto życie. Wszystko sobie zaplanował: miał mieszkać w ukochanym Melbourne, pracować jako kardiochirurg, żyć u boku Sam. Po jego powrocie do Australii mieli założyć rodzinę.

Wygląda na to, że jego marzenia to już przeszłość. Jeden z najlepszych szpitali w Melbourne tylko czeka, aż jego kontuzjowana noga odzyska sprawność.

Ale on ma dziecko, którego nie zna. Nie poznaje też swojej żony. Jego Sam żyła dla niego, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby pojechać do Afryki i go odnaleźć.

Ta nowa Sam nieufnie mu się przygląda. Nie rzuciła mu się na szyję, nie rozplakała ze szczęścia, że przeżył. Ta nowa Sam go nie potrzebuje, a on nie ma pojęcia, co z tym zrobić.

Daj jej trochę czasu... Tobie też to dobrze zrobi.

- Proszę. - Stała nad nim z parującym kubkiem, a w jej oczach czaiło się pytanie. Przez moment wydawało mu się, że widzi w nich czułość.

Uśmiechnął się.

- Dzięki. - Biorąc od niej kubek, musnął jej palce. Jej wzrok pociemniał, wargi lekko się rozchyliły.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała chropawym głosem. Zawsze tak było, ilekroć jej dotykał.

Czy to znaczy, że nadal ciepło o mnie myśli? Przeszła w drugi koniec pokoju. Nie wiedziała, czego Brett od niej chce, więc wołała z niczym się nie zdradzić. Pora przejść do rzeczy.

- Chciałbym zobaczyć moją córkę.

Nerwowo splotła palce.

- Bardzo się ucieszy, kiedy się dowie, że ma ojca. Większość jej koleżanek ma oboje rodziców. Kilka miesięcy temu zaczęła się o ciebie dopytywać. - Zawahała się. - Brett, muszę cię ostrzec, że Casey...

- Że Casey nie widzi? - zapytał bez ogródek. - Dlatego zrezygnowałaś z pracy jako sekretarka. I tylko dwa razy w tygodniu pracujesz w recepcji ośrodka dla dzieci głuchych i niewidomych. Żeby być z nią.

Przytaknęła.

- Dopiero jesienią zaczniesz chodzić do szkoły w pełnym wymiarze godzin - wyjaśniła. - Muszę pracować, ale chcę mieć dla niej jak najwięcej czasu.

- Ile ona widzi? - To pytanie dręczyło go, odkąd detektyw poinformował go o sytuacji. - Niedowidzi czy jest całkiem niewidoma? Nie ma szansy na poprawę?

- Doktorze Glennon, to nie jest przesłuchanie na komisji lekarskiej. Nie jesteś lekarzem, jesteś jej ojcem.

Poczuł się urażony.

- Przepraszam, ale moja córka ma pięć lat, a ja jej nie znam. Nie byłem przy porodzie, nie przewijałem jej, nie karmiłem w nocy ani nie nosiłem na rękach. - Wzruszył ramionami. - Może zdobyłbym się na więcej uczucia, gdybym poznał ją dwa lata temu. Wiele rzeczy moglibyśmy robić razem. Na przykład rehabilitować moje kolano.

Sam bezradnie opuściła ramiona.

- Masz rację - przyznała.

Wyglądała na zagubioną, przegraną, co przypomniało mu relacje detektywa. On przeszedł piekło w Mbuce i w szpitalach, ale jej życie też nie było sielanką. Jednak nie tylko przetrwała, ale i się dostosowała, zmieniła swoje życie dla dobra dziecka.

Potał skronie.

- Nie ogarniam tego - westchnął. - Myślałem, że chociaż się ucieszysz, że żyję.

- Cieszę się! - zawołała żalonym tonem. - Ale czuję się jak chomik, który nie może wydostać się z kołowrotka. Nie spodziewałam się tego. Nie uprzedziłeś mnie...

- Czeakałabyś tu, gdybym cię uprzedził? - rzucił sarkastycznym tonem.



- Nie wiem. - Kiedyś kochał ją za taką szczerość. - Nie wiem, po co przyjechałeś. Brett, czego chcesz ode mnie?

Wszystkiego. Ale byłby głupcem, gdyby teraz to powiedział. Nawet nie był pewny, czy to prawda. Przez lata marzył o powrocie do Sam, ale mimo że ta kobieta wygląda jak jego Sam, to jest kimś innym.

- Chcę zobaczyć moją córkę. Być z nią, gdzieś z nią pójść...

- Nigdzie jej nie zabierzesz beze mnie. - Nastroszyła się. - Ona... cię nie zna.

Nie przepada za obcymi.

Ściągnął brwi.

- Sam, na razie chcę ją po prostu zobaczyć.

- Ja tylko cię uprzedziłam - mruknęła pojednawczo.

- W porządku. Na razie. Casey ma rodzinę, której nie zna. Chcę ją zabrać do Melbourne, żeby jakiś czas spędziła z moimi rodzicami i moją siostrą. Oni nie mogą się jej doczekać. Casey ma także kuzynki i kuzynów...

- Nie!

Miał przed sobą jej pobladłą twarz i płonący wzrok. Zrozumiał, że za tą gwałtowną reakcją kryje się coś poważnego.

- Nie wolno ci odcinać jej od rodziny. Chyba zdajesz sobie sprawę, jak źle to może wpłynąć na jej życie.

- Nie odbierzesz mi jej!

- Sam, nie mam zamiaru ci jej odbierać. Chcę tylko, żeby poznała moją rodzinę. Uważasz, że to przesada?

- Chyba nie - odparła bez przekonania. - Ale ona musi być ze mną. Zawsze.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - dociekał. - Nawet jeszcze jej nie widziałem.

- Jeżeli twoi rodzice chcą mieć wnuki do rozpieszczania - mówiła ze wzrokiem wbitym w podłogę - możesz związać się z inną kobietą i mieć dzieci, które twoi rodzice...

Zamurowało go. Wpatrywał się w nią jak zauroczony. Jak jej do twarzy z tym zmieszaniem! Było mu przykro, że nie można cofnąć czasu i dokonać innego wyboru. Najchętniej przyciągnąłby ją do siebie, żeby przełamać jej bariery.

Myśl, że mógłby się z nią kochać, była tak paląca, że natychmiast ją od siebie odsunął. Tylko spokojnie...

- Casey ma prawo wiedzieć, kim jest. Sam, tu nie chodzi o twoją przeszłość - dodał świadomy, jak bardzo ją to dotknie. Ale ktoś musi jej to powiedzieć, a on jest ojcem Casey.

Chyba że Sam ma kogoś innego i Casey już go zaakceptowała.

- Tu chodzi o Casey i to, czego ona potrzebuje - ciągnął. - Dlaczego uważasz, że moja rodzina jej nie przyjmie? Zdaję sobie sprawę, że są snobami i przywiązują nadmierną wagę do wyglądu i pozorów, ale nigdy mi nie mówili, jak mam żyć. Przygotowali dla niej cały pokój zabawek rekomendowanych przez Królewskie Stowarzyszenie na Rzecz Niewidomych. Marzą, żeby ją poznać. Sam, ona jest ich wnuczką.

Westchnęła.

- Nie to miałam na myśli. To nie to...

- Więc co? Powiedziałaś, że o mnie pytała. Chcesz mnie trzymać od niej z daleka? Chcesz pozbawić ją ojca, tradycji rodzinnej, bo boisz się samotności?

Widział, jak jej opór słabnie.

- Kiedy w końcu się dowie, że ma w Melbourne liczną rodzinę, od której ją odcięłaś, znienawidzi cię. Ona ma prawo, jak każde dziecko, poznać ciepło dużej rodziny. Ty to chyba najlepiej rozumiesz. W dalszym ciągu zastanawiasz się przed zaśnięciem, gdzie jest twoja matka i co się z nią dzieje? Dlaczego twój ojciec odszedł? - Na chwilę zawiesił głos. - Wiem, że ci to nie przeszło. Sam, każdy chce wiedzieć, skąd pochodzi. Chcesz pozbawić Casey poczucia bezpieczeństwa, by nie zostać sama?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Nic nie rozumiesz.

- Więc mi to wytłumacz - powiedział cicho.

Odwróciła się i podeszła do okna. Patrzyła na drzewa smagane wiatrem. Burza nadciągała w zawrotnym tempie, ale była niczym w porównaniu z zamętem w jej sercu. Ledwie Brett wrócił, już udało mu się sprawić, że z każdym jego słowem czuła się coraz słabsza.

Ten radosny roześmiany Brett, którego uwielbiała, stał się milczący, ponury i zacięty. Co go spotkało w Afryce? Instynktownie czuła, że to, co jej opowiedział, to tylko czubek góry lodowej. Dwa lata rehabilitacji dobitnie świadczą o tym, że musiał być bliski śmierci.

Jego ojciec jest chory, przykutym do wózka...

Po tym, co usłyszała, nie może mu powiedzieć o pogroźkach ze strony jego rodziców. Uznała, że jako sierota, której nie dany był bezcenny skarb, jakim jest rodzina, tradycja lub poczucie przynależności, nie chciała usłyszeć takich pogroźek z jego ust. Przez całe życie marzyła, by mieć to co on. To nie jego wina, że jego rodzice nie uznali jej za godną partnerkę swojego ukochanego syna. Mając Casey, nie może mieć do nich żalu. Ona też chce, by jej królewna miała wszystko co najlepsze.

Pewnie Brett zagraża jej najbardziej, ale on też swoje wycierpiał. Jego rodzice są dziadkami Casey...

Nie, nie powie mu, dlaczego uciekła z Melbourne. Może nie ma pojęcia, czym jest poczucie przynależności, ale doskonale zna gorycz zawodu i opuszczenia.

Otarła pot z czoła.

- Tu nic nie trzeba tłumaczyć. Casey i ja jesteśmy nierozłączne, to wszystko. I obydwie zostaniemy w Sydney.

Po długim namyśle Brett westchnął.

- Na razie przyjmuję twoje zasady gry, ale pamiętaj, że role mogą się odwrócić. Chcę poznać moją córkę.

- Nie mogę ci w tym przeszkodzić. - Zdawała sobie jednak sprawę, że Brett długo nie pozostanie bierny. - Wiem, że ją pokochasz. Czasami bywa nieznośna, ale jest bardzo kochana. Jest taka sprytna i mądra, że często zapominam, że nie widzi.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ją pokocham. To przecież nasze dziecko. Jestem też na sto procent pewny, że moi rodzice ją pokochają. Jestem przekonany, że jej obecność bardzo by im pomogła, kiedy uznali mnie za zmarłego.

Spodziewała się ataku, ale nie aż tak silnego. Poczowała zawrót głowy i oparła się o poręcz krzesła. Nie powiem tego, nie powiem! Jedynym wyjściem jest milczenie. Tłumaczenie się kosztem jego rodziny byłoby przesadnym egoizmem.

Tak jak egoizmem było pozbawianie Casey przez tyle lat praw i przywilejów wynikających z noszenia nazwiska Glennon? Przeżrana opuściła powieki. Ilekroć dokonywała wyboru, zawsze działało się to z krzywdą ludzi, na których jej zależało.

Ale oni zawsze mają kogoś, kogo mogą kochać. A ja mam tylko Casey.

- Przepraszam. - Modliła się, by na tym poprzestał, jednocześnie przeczuwając, że tak nie będzie.

- Jeśli nawet nie mogłaś wytrzymać z moimi rodzicami, to dlaczego przynajmniej nie zostałaś w Melbourne? Już dwa lata temu byś się dowiedziała, że żyję. - Widać było, że tłumi gotujące się w nim emocje. - Sam, jesteś moją żoną. W Mbuce przeżyłem koszmar, ale prawdziwa gehenna zaczęła się po powrocie, kiedy dowiedziałem się, że mam dziecko, którego nie znam. Noc w noc zastanawiałem się, jak ci się wiedzie, czy to jest syn, czy córka, dlaczego zniknęłaś. - Zacisnął wargi. - Potrzebowałem cię - wycodził przez zęby.

Wymierzył jej cios w samo serce.

- Mnie? - wykrztusiła. - Po twoim wyjeździe wiele tygodni przeleżałam w szpitalu, miałam krwawienia, groziło mi poronienie. Dzwoniłam do ciebie, starając się rozmawiać z tobą, jakby nic się nie stało, bo nie chciałam cię martwić w sytuacji, w której nic nie mogłeś zrobić. To ja ciebie potrzebowałam...

- Dzwoniłaś ze szpitala? Wtedy, kiedy dzwoniłem do rodziców, a oni mówili, że wyszłaś? Dlaczego miałem wrażenie, że się zmuszasz, żeby ze mną rozmawiać?

Odetchnęła głęboko.

- Umówiliśmy się, że nie będziemy ci przeszkadzać, bo od twoich umiejętności zależy życie wielu ludzi. Ale mnie się to nie udało. Przepraszam. Na pewno się martwiłeś.

W głuchej ciszy rozległ się pierwszy grzmot. Chwilę później pokój rozświetlił blask błyskawicy.

- Brett, nie było nikogo innego - powiedziała cicho. - Jeśli niepokoiło cię, że jestem spięta, to dlatego że czułam się przerażona. Potrzebowałam cię, ale byłeś daleko, bo chciałeś zbawiać świat. Nie miałam ci tego za złe, ale też czułam się porzucona. Wyjechałeś ledwie dwa miesiące po ślubie...

- Wiedziałaś, że podpisałem kontrakt, zanim się poznaliśmy. Zobowiązałem się przepracować dwa lata. Miałem pod opieką setki ludzi w obozie dla uchodźców. Ale gdybyś powiedziała, że jesteś w ciąży i leżysz w szpitalu, przyleciałbym pierwszym samolotem.

- Wyrzucałbyś mi, że zmusiłam cię do rezygnacji z tego, o czym marzyłeś - rzekła znużonym tonem. - O niczym innym nie mówiłeś, jak o tym wyjeździe. Cięża, a potem ślepotą Casey zatrzymałyby cię w Australii. W kraju ogarniętym wojną nie ma miejsca dla niewidomych dzieci.

Kolejny grzmot przetoczył się nad ich głowami.

- Nie dałaś mi szansy... ani wyboru. - Był wyraźnie urażony. - Kiedy się poznaliśmy, wzruszałaś się losem uchodźców, twierdziłaś, że rozumiesz, dlaczego mnie tam ciągnie... obiecywałaś, że wkrótce do mnie dołączysz. Czy wiesz, jak trudny był tam każdy dzień? Straciłem więcej ludzi, niż uratowałem, widziałem wręcz niewyobrażalne urazy i okaleczenia, jednocześnie mając świadomość, że najczęściej ich sprawcą jest człowiek z sąsiedniej pryczy. Przez cały dzień i całą noc do obozu napływali nowi uchodźcy. Harowałem przez całą dobę, nie licząc przerw na

posiłek i godzinnej drzemki. - Jak na zawołanie piorun uderzył nieopodał. - Nie masz pojęcia, ile razy chciałem, żeby była przy mnie moja żona. Gdybym wiedział, dlaczego cię nie ma, nie czułbym się tak kompletnie zapomniany, kiedy zostałem uprowadzony przez rebeliantów.

Kiedy wyszłam ze szpitala, uciekałam przed twoimi rodzicami i pogrózkami, że odbiorą mi Casey.

- Przez telefon ani razu się nie pożaliłeś - powiedziała z wyrzutem. - Czy było tam na tyle bezpiecznie, żeby Casey mogła się tam urodzić?

- Nie, ale o tym nie wiedziałaś, więc to żaden argument.

- Lekarze kazali mi się oszczędzać. Musiałam dużo leżeć. - Tyle mogła mu powiedzieć. - Nie poradziłabym sobie z twoim niezadowoleniem i lękiem, ze świadomością, że rozpaczliwie starasz się wrócić, bo jestem chora. Potem...

- Stale do tego wracamy?

- Potem, kiedy już miałam ci powiedzieć, dowiedzieliśmy się, że nie żyjesz. - Słowa więzły jej w gardle. - Poinformowano nas, że sprawa jest beznadziejna... Musiałam się z tego wydostać. Wspomnienia by mnie zabiły.

Nie słyszała, jak do niej podszedł. Zorientowała się, dopiero czując, że wziął ją za rękę.

- Mogłaś zostać z moją rodziną. Nie byłabyś wówczas taka samotna.

Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka wtedy byłabym samotna. Potarła czoło. Chyba ma gorączkę.

- W głowie mi się mąci... Wróciłeś. Musiałam pogodzić się z twoją śmiercią. Żeby nie oszaleć, musiałam zapomnieć.

- Udało się? Zapomniałaś mnie? - Gładził ją po ramieniu. Cudowne uczucie. To nie dziecięca pieszczota, a dotyk mężczyzny, który rozumie, że ona nie jest doskonała...

- Darujmy sobie wspomnienia. Wiem, że mnie kochałeś. Byłeś całym moim życiem. Ale twoją jedyną miłością była praca. To ceniłeś najwyżej. Zdawałam sobie sprawę, że zawsze będę na drugim miejscu.

Jego dłoń znieruchomiała.

- Czy to dlatego nie powiedziałaś mi o Casey?

Przytaknęła zawstydzona.

- Nie wiedziałam, czy do nas wrócisz - wyznała. - Nie chciałam sprawdzać, czy znowu będę na drugim miejscu.

- Mogłaś dać mi szansę, zaufać mi - powiedział cicho.

- Zaufałam... twojemu przeświadczeniu, że pracujesz dla dobra ludzkości.

Kiedy byliśmy razem, mówiłeś tylko o tym. Bałam się, że mi powiesz, że jesteś potrzebny ludziom w Mbuce bardziej niż mnie.

Te słowa dużo ją kosztowały. Czy to na tę chwilę tak długo czekała? Teraz, kiedy Brett się odnalazł, jej marzenia splotły się z koszmarami tak, że nie potrafiła ich rozdzielić.

„Nie jesteś dobrą partią dla mojego syna. Nie masz pojęcia o rodzinie. Jakim prawem uważasz, że będziesz dobrą matką?”. Te słowa Davida Glennona ciągle brzmiały jej w uszach. „Zwróć mojemu synowi wolność, jak wróci z Afryki. Oddaj nam dziecko. Wychowamy ją jak należy. Ty żadnemu dziecku nie potrafisz zagwarantować szczęśliwego dzieciństwa”.

Nie wychowała się w rodzinie, to prawda, i zdawała sobie sprawę, że nie jest dobrą partią dla Bretta, ale David Glennon w jednym się pomylił. Dzięki ciężkiej pracy i uporowi stała się dobrą matką. Nigdy nie odda Casey Glennonom!

W dalszym jednak ciągu nie wiedziała, co ją czeka.

- Brett, czego ty chcesz? To oczywiste, że czegoś ode mnie chcesz, nie tylko zobaczyć Casey. Chcesz wystąpić o roz...?

Nim skończyła, zamknął jej usta. Całował ją namiętnie i gorąco, aż straciła panowanie nad sobą. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu poczuła, że żyje, że

pragnie aż do bólu. Odwzajemniła pocałunek z całą świadomością, że później przyjdzie jej za tę chwilę słabości słono zapłacić, ale nareszcie znowu czuła się kobietą...

Nie wypuszczał jej z ramion.

- Czy to zwiastuje rozwód? - wyszeptał. - Chyba nie masz wątpliwości, że cię nie zapomniałem?

Zadrżała, ale tym razem nie ze strachu, lecz z pożądania. Nigdy nie potrafiła ukryć przed nim swojej zmysłowości.

- To - znowu ją pocałował - dodawało mi otuchy przez lata udreki i męczarni. Nadzieja, że w końcu będziesz przy mnie, że będę cię dotykał, że znowu będziemy się kochali.

Przymknęła oczy, delektując się tym wyznaniem. Kochać się z nim, doświadczać jego pieśczoty, które sprawiały, że czuła się spełniona i kochana.

- To za mało. - Nieudolnie tłumiała drżenie.

- Mam wrażenie, że wystarczy. - Musnął wargami jej usta, nie przestając gładzić jej po plecach. - Zawsze idealnie się rozumieliśmy. Nie schowasz się przed tym, co nas łączy.

Jeszcze mocniej zacisnęła powieki, by nie ulec wspomnieniom. Rozpalone ciała, połączone usta, pieśczoty, miłosne zaklęcia... Jeśli on nie chce spojrzeć prawdzie w oczy, ona musi to zrobić.

- To, co teraz nas łączy oprócz pożądania, to wspomnienia... oraz dziecko. Okoliczności sprawiły, że się zmieniliśmy. - Dostrzegła w jego oczach zaprzeczenie. - Nie jestem już tą zakochaną dziewczyną, dla której byłeś całym światem. Moje życie z Casey jest bardzo pracowite i daje mi ogromną satysfakcję. - Kłamała. - Przestałam być twoim satelitą i nie będę twoją jednoosobową ekipą ratunkową. Nie zmienię dla ciebie swojego życia, ani tym bardziej życia Casey.



Domyślała się, że bardziej niż jej ciała Brett potrzebuje jej obecności, by czerpać z niej siłę konieczną do wyzdrowienia, a przynajmniej do tego, by zapomnieć o cierpieniu, które najwyraźniej go nie opuszcza.

Ale jej życie uległo zmianie. Teraz musi się koncentrować wyłącznie na potrzebach Casey. Jak może mu dać coś, czego sama nie ma? Ta świadomość bardzo jej ciążyła. Rola matki każdego dnia wymaga od niej nadludzkiego wysiłku. Nie ma mu nic do zaproponowania.

Oprócz serca. Ale czy mogę mu zaufać, że nie odbierze mi wszystkiego i nie wyleci do Melbourne pierwszym lepszym samolotem?

Melbourne już nie jest jej miastem. To tam jego rodzice już czekają z orzeczeniem sądowym, które zakazuje jej ponownego opuszczenia miasta. To tam robili wszystko, by jej pokazać, że nie nadaje się na matkę, tylko dlatego że nie należy do klanu Glennonów, nie nosi nazwiska, którym mogłaby im zaimponować. Odbiorą jej Casey. Jedyną istotę, dla której chce się jej żyć.

- Co było, minęło - powiedziała przez ściśnięte gardło. - Przykro mi, ale nie mogę ci dać tego, czego nie mam.

Położył jej dłonie na ramionach.

- Nie wierzę. Oszukujesz mnie albo siebie. Pragniesz mnie tak bardzo jak ja ciebie.

- Nie o to chodzi. Dawno nikogo nie miałam... ale to za mało. Nieważne, co do siebie czujemy. - Odgarnęła włosy z policzka. - Nie jest ważne, czego ty chcesz albo ja. To nie o nas chodzi. Moim absolutnym priorytetem jest Casey. Powinieneś to zrozumieć, nawet jeśli jeszcze nie czujesz się jej ojcem...

Chciała powiedzieć coś więcej, ale przerwał jej zaspany głosik dobiegający z drugiego końca pokoju.

- Pan jest moim ojcem?

## ROZDZIAŁ TRZECI

W drzwiach stał potargany aniołek w piżamce z Kubusiem Puchatkiem. Jasne loki opadały mu na ramiona, a twarzyczka przypominała cherubiny z obrazów Botticellego. Miniaturka matki. Aniołek poważny, ale nie zagniewany.

To moja córka. Poczul nieoczekiwany przyływ czułości, którą od dawna skrywał pod maską gniewu. Jego córka. Na jej buzi dostrzegł słodkie dołeczki.

Była po stokroć ładniejsza niż na zdjęciach, które mu dostarczono. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Moja córeczka.

- Mamo - odezwała się drżącym głosem. - Mamo...

Lekcja pierwsza dla rodzica dziecka specjalnej troski: gdy się do ciebie odezwie, zawsze mu odpowiadaj.

- Jestem tu, skarbie.

Brett położył Sam rękę na ramieniu, by pozostała tam, gdzie stoi. Rzuciła mu pytające spojrzenie, ale usłuchała go.

- Cześć, Casey. - Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Co ona o nim pomyśli? Polubi go? Czy może...

- Cześć. - Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało. - Jesteś moim tatą?

Ten niewzruszony spokój pięcioletniego dziecka wytrącił go z równowagi. Z jej twarzy nie mógł nic wyczytać.

- Tak, Casey - odpowiedział. - Nazywam się Brett Glennon i jestem twoim tatą.

Nie ruszając się z miejsca, powoli pokiwała głową. Zachowywała dystans, jakby się go bała...

Zniósł to bez mrugnięcia powieką. Casey widzi więcej, niż sobie wyobrażał. Czy wyczuła również oburzenie, że jego dziecko, jego córeczka, dźwiga taki ciężar

niedoskonałości? Czy przyszło jej do głowy, że tatuś jej nie polubi, bo jest niewidoma? Nigdy nie powinna się o to lękać.

Byłoby zupełnie inaczej, gdyby nie wyjechał do Afryki.

Nie po raz pierwszy żałował, że zostawił Sam, że kosztem innych puścił się w pogoń za swoim marzeniem. On realizował swoje marzenia, podczas gdy ona najpierw sama borykała się z zagrożoną ciążą, potem przeniosła się do innego stanu z niepełnosprawnym dzieckiem; on zaś skazał rodziców na cierpienie z powodu swojej domniemanej śmierci, co z kolei spowodowało u ojca następne udary.

Wyobrażał sobie, że zbawia świat, zamiast dbać o swoich najbliższych, wierząc święcie, że dokonał właściwego wyboru, a oni jakoś ułożą sobie życie bez niego.

Ale tak się nie stało. Los nie sprzyjał ani uchodźcom, ani rodzicom. Nie udało się Sam, ani nawet jemu.

Wcześniej miał się w tym scenariuszu za ofiarę, jednak wypadki tego wieczoru uprzytomniły mu, że nie tylko on się poświęcał. Powinien to naprawić.

- Casey, przyjechałem cię poznać. - Miał nadzieję zasypać przepaść, która nigdy nie powinna była powstać. - Przyjechałbym już dawno, ale... - Zerknął na Sam. - Ale byłem bardzo daleko i nie wiedziałem, gdzie mieszkacie.

Casey wyciągnęła do niego rękę.

- Miło mi pana poznać, panie...

- Brett Glennon. - Podeszedł do niej, utykając, i uścisnął jej rączkę.

Z uznaniem pomyślał o tym, że Sam uczy małą dobrych manier, ale z drugiej strony, wiedział, że niewidomi poznają otoczenie zmysłami słuchu, dotyku i powonienia oraz dzięki intuicji. Dotykając go, Casey mogła go „zobaczyć”.

- Ja też bardzo się cieszę, że cię poznałem - rzekł z uśmiechem, którego nie mogła widzieć. Jej drobne gesty i głos sprawiały mu ogromną radość.

- Pan się uśmiecha. Poznałam po głosie.

- Tak, uśmiecham się - przyznał zaskoczony. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię poznałem. Że mam taką śliczną córeczkę.

- Ja się nazywam Holloway. - Cofnęła rękę. - W szkole te dzieci, które mają mamę i tatę, noszą to samo nazwisko - zauważyła z powagą. - Dlaczego pan nazywa się inaczej?

Uśmiechnął się z zadowoleniem: dociekliwość to także jego cecha.

- Kiedy się urodziłaś, mieszkałem bardzo daleko, w Afryce. Jestem lekarzem, więc pomagałem tam głodnym i chorym ludziom. - Znowu popatrzył na Sam. - Tam, gdzie pracowałem, nie było telefonów. Gdybym wiedział o twoich narodzinach, przyjechałbym opiekować się wami.

Wpatrywał się w dziewczynkę, zastanawiając się, czy zauważyła, że uniknął odpowiedzi, ale wyraz jej twarzyczki był nieprzenikniony. Przeraziło go, że pięcioletnie dziecko potrafi tak dobrze ukrywać emocje.

- Mogę pana obejrzeć? - zapytała cicho.

- Ona chce... - wtrąciła Sam.

- Wiem. - Z trudem zgiął nogę, oparł się najpierw o oparcie krzesła, potem o stolik, by uklęknąć przed Casey, po czym dotknął jej ręki. - Proszę bardzo - zachęcił ją.

Wodziła palcami po jego twarzy, po opuszczonych powiekach, nosie, mocno zarysowanych kościach policzkowych, po linii brwi. Poznawała kształt jego uszu i warg oraz sąsiadujących z nimi dołeczków.

Przy tej okazji otrzymał odpowiedź na pierwsze pytanie: jego dziecko jest kompletnie niewidome. Osoby niedowidzące widzą coś przez bardzo silne szkła, lub z bardzo małej odległości rozpoznają zarysy przedmiotów. Casey nic nie widzi. Jaka jest tego przyczyna?

Czy jego obecność mogłaby temu zapobiec, gdyby odpowiednio wcześniej rozpoznano uszkodzenie nerwu wzrokowego?

- Ma pan takie same dołeczki jak ja - stwierdziła Casey, wyrywając go z zadumy.

- I tego samego koloru mamy oczy - dodał, nie mówiąc, jaki to kolor.

Ona i tak tego nie zrozumie, pomyślał z żalem. Wydawało mu się, że wiele miesięcy wcześniej pogodził się z jej kalectwem. Ale to było, zanim ją poznał.

Casey w zamyśleniu pokiwała głową.

- Jestem do pana podobna?

- Trochę - odparł z dumą. Ten aniołek to jego dziecko, owoc jego miłości do Sam. - Jesteś bardziej podobna do mamy, a to znaczy, że jesteś bardzo ładna.

Mała rączka spoczęła na jego piersi.

- Dlaczego jest pan smutny? - Albo już wiedziała, że jest ładna, albo jej to nie interesowało.

Czy ona wie, co to znaczy „ładna”?

- Słucham?

- Dziwnie pan chodzi i ma pan laskę. Boli pana noga. I ma pan smutną buzię. - Dotknęła jego warg, a potem czoła.

- Chyba jestem stary. - Jak ona doszła do tego wniosku?

- Nie ma pan pomarszczonych rąk i ma pan młody głos. - Odsunęła się na krok, przerywając kontakt.

Lekcja numer dwa: nie lekceważ jej dlatego, że jest niewidoma.

- Dlaczego pan się kłócił z moją mamą?

O nie, Casey nie wolno lekceważyć.

Nim znalazł właściwe słowa, odezwała się Sam:

- Casey... - rzuciła rzeczowym tonem.

Brett poczuł, że musi stanąć po stronie córki.

- Sam, Casey powinna się dowiedzieć.

- Ona ma dopiero pięć lat! Nie musi...

- Jest naszym dzieckiem - wyrwało mu się. - Trochę twoją mamę przestraszyłem. Nie wiedziała, że przyjdę. Myślała, że w dalszym ciągu jestem w Afryce.

- Pan na nią krzyczał. Nie lubi pan mojej mamy?

Przyjrzał się żonie z uwagą.

- Casey, bardzo lubię twoją mamę. Lubię ją od chwili, kiedy ją poznałem.

Kątem oka zauważył, że Sam się zaczerwieniła, po czym odwróciła głowę. Poczul się dotknięty, ale nie uszło jego uwadze, że Sam drży. Najwyraźniej ten wieczór, to spotkanie po latach kosztuje ją więcej, niż sobie wyobrażał.

Gdy powiódł wzrokiem po pokoju, dostrzegł komódkę, a na niej oprawione fotografie: ich dwoje podczas pierwszej randki; ich zaręczyny; ich ulubione zdjęcie ze ślubu zrobione ukradkiem przez koleżankę, gdy Sam się potknęła, a on ją podtrzymał. Oboje roześmiani, z welonem, który unosił się nad nimi jak błogosławieństwo.

Nie zapomniała. Gdyby w jej życiu zaistniał ktoś inny, schowałaby te pamiątki do szuflady.

- To dlaczego mówił pan podniesionym głosem?

Niechętnie przeniósł uwagę z żony na córkę. Teraz myślał tylko o tym, żeby wziąć ją w ramiona. Ale nawet nie mógł się podnieść osłabiony wysiłkiem, jaki włożył, by uklęknąć przed Casey. Może terapeuta miał rację, upierając się, że nie jest jeszcze fizycznie gotowy na taką podróż. Ale on po prostu musiał ją odnaleźć. Ta paląca potrzeba była silniejsza od jego zdrowego lekarskiego rozsądku.

Nie podejrzewał, że będzie to takie bolesne. Najgorsze jest jednak to, że już nie był pewien, że winę za ten stan rzeczy ponosi tylko Sam.

Co on czuje do tego dziecka, które stoi przed nim i przemawia tonem dorosłej kobiety? Chciałby czuć cokolwiek, ale w tej chwili czuł się po prostu zagubiony.

- Casey, życie czasami bywa bardzo skomplikowane - westchnął. - Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

Dziewczynka ziewnęła.

- Mama mówi, że na nikogo nie wolno krzyczeć. Można ładnie mówić, nawet jak się na kogoś gniewa.

- Słusznie, mama ma rację. - Ukrył uśmiech. - Przepraszam.

Casey pokiwała głową.

- To ja już pójdę spać. - Tarła oczy. - Dobranoc, mamusiu. - Wyciągnęła do Sam ręce.

- Dobranoc, królewno. Kocham cię. - Sam mocno ją przytuliła i pocałowała w jasną główkę.

- Ja cię też kocham, mamusiu. - Casey ruszyła do drzwi.

- Dobranoc. - Brett przypomniał jej o sobie.

Dziewczynka zatrzymała się w pół drogi i odwróciła się do niego z wyuczonym uśmiechem.

- Dobranoc, panie Glennon. Miło było pana poznać. Mam nadzieję, że jeszcze nas pan odwiedzi.

Aż się skulił. Oto on, Brett Glennon, przyzwyczajony, że jego upór oraz urok osobisty podbijają wszystkie serca, dostaje nauczkę od pięcioletniego dziecka.

Casey zamknęła za sobą drzwi bardzo cicho, ale on odebrał to, jakby zatrzęsnęła mu je przed nosem.

- Na „tatusia” trzeba zapracować. Ona cię nie zna. Oswoi się z tobą, jeśli będzie dłużej z tobą przebywała. - Sam idealnie wstrzeliła się w jego myśli.

- I tak się stanie - wykrztusił. - Casey to moje dziecko.

- Wnoszę, że oboje chcemy dla niej jak najlepiej?

- Tak, oczywiście - odparł ostrożnie.

- To znaczy, że nie wolno nam podnosić głosu, niezależnie od tego, jak będziemy zdenerwowani. Casey ma dużo rzeczy, do których musi się dostosować i nie powinna wysłuchiwać kłótni rodziców. - Uśmiechnęła się. - To nie jest zarzut pod twoim adresem. Dzisiaj to ja pierwsza podniosłam głos.

- Zgoda, nie podnosimy głosu.

Nieważne, jakie są jej dalsze warunki. W jednej kwestii ma absolutną rację: Casey jest ich priorytetem.

Ogarnęła go fala gorzko-słodkiej czułości: Casey. Cząstka jego oraz Sam, owoc ich krótkiego czasu miłości, wspaniały dzieciak. Jakie to niesprawiedliwe, że jest... jest...

- Casey nie zaśnie, jak będziemy tu rozmawiać. Ma doskonały słuch i jest piekielnie ciekawska. Przejdźmy tam. - Podała mu kulę, zebrała kubki z kawą i poprowadziła go do kuchni.

Zanim pozbierał się z klęczek upłynęło parę minut. Nienawidził kuli. Żeby już był przyszły rok, żeby kolano odzyskało sprawność, żeby już podjął pracę w Melbourne...

Nagle doznał olśnienia: Sam zostawiła go samego w pokoju, bo instynktownie wiedziała, że nie życzy sobie niczyjej pomocy. Okazała się drugą osobą po terapii, która to wyczuła. Jego matka nieustannie mu pomagała, a nadopiekuńcza Meghan, jego siostra, doprowadzała go do wściekłości, ale za każdym razem rozbrajało go ich płaczliwe: „Ależ, Brett, my cię kochamy. Bardzo nam ciebie brakowało”.

W pewnym sensie Sam znała go lepiej niż oni. Zdawała sobie też sprawę, że on sobie nie życzy, by pomagała mu nawiązać kontakt z Casey. Zostawiła go w salonie, by podniósł się o własnych siłach, mimo że sporo go to kosztowało.

Od razu się zorientował, że jej się nie przelewa, ale wiedział jednocześnie, że nie poprosiła jego rodziców nawet o jednego centa. I teraz o nic nie prosi jego. Nie wpędzi go w poczucie winy, by osiągnąć swój cel, nigdy tego nie robiła.

Boże, nawet nie wykorzystwała ciąży, żeby ściągnąć go do kraju. Dzielna piękna Sam. Pozostawiona samej sobie, nawet nie poprosiła o pomoc człowieka, który przysięgał, że będzie przy niej w zdrowiu i chorobie.



Krucha, dzielna i szczerza Sam przewróciła jego świat do góry nogami już podczas pierwszego spotkania... i robi to w dalszym ciągu. Już tamtego wieczoru sprawiła, że zapomniał o wszystkich swoich stereotypowych wyobrażeniach o kobietach i o cynizmie, z jakim je traktował. Przez cały czas, gdy byli razem, domagała się od niego jedynie miłości.

Ogarnięty nowymi wątpliwościami dotarł do kuchni.

- Czy wiedziałaś o ciąży, zanim wyjechałem?

Stukot kubka, który właśnie wycierała, dał mu odpowiedź, która nie przeszła jej przez usta.

Zamknął oczy, przeklinając się w duchu. Koszmar. Przyjechał do Sydney, żeby ją oskarżać, żeby wydobyć od niej prawdę. Musiał się dowiedzieć, dlaczego uciekła z Melbourne, dlaczego żyła spokojnie w Australii, podczas gdy on kilkakrotnie był bliski śmierci. Był bity, trzymany na celowniku, kilkakrotnie postrzelony, głodzony, wykorzystywany jako lekarz niewolnik, zmuszany do pracy przez wiele godzin bez odpoczynku.

Ona tego nie doświadczyła! Więc dlaczego on czuje się jak aktor obsadzony w roli czarnego charakteru, któremu nie dano tekstu? Poczł się jak szmata, jak ścierka, którą Sam akurat odłożyła.

- Zadzwońię po taksówkę. - Wyjął komórkę i wybrał numer informacji. - Gdybyś czegoś potrzebowała, to zatrzymałem się w hotelu Rosemount w Parramacie.

Milczenie.

- Dziękuję. - Był jej wdzięczny za taką wstrzemięźliwość. Mogła tyle powiedzieć... Na przykład, że ona ani Casey niczego od niego nie potrzebują.

- Przyjadę jutro. O której mogę zabrać Casey? - Odwróciła się gwałtownie. - Do parku... razem z tobą. - Wysłuchiwał nagranych tekstu.

Sam się zrelaksowała i nawet uśmiechnęła blado. Uniosła obie dłonie, rozkładając najpierw wszystkie palce, potem podnosząc jeszcze dwa. Przytaknęła, nasłuchując.

- Nareszcie ludzki głos. - Trzy razy powtórzył nazwę korporacji.

Wówczas Sam pokazała mu swój notes, a w nim numer telefonu polecanej korporacji. Znała go przez cały czas! Uśmiechała się, nie, śmiała. Kamień spadł mu z serca, mimo że ten żart wcale nie był zabawny. Ogarnęło go takie samo przyjemne uczucie jak wtedy, gdy wziął ją w objęcia, na co zareagowała dziką namiętnością.

Boże, dzięki ci za to, że ona nadal go pożąda. Przynajmniej to się nie zmieniło. Pożąda go nawet w stanie szoku.

Nie miał pojęcia, co będzie z nimi dalej, ale wiedział, że przez wzgląd na dziecko zrobi wszystko, by feniks ich miłości powstał z popiołów. Nie zaprzepaści tego związku. Zgodnie ze słowami przysięgi.

Ale nie byłem przy niej w zdrowiu i chorobie, kiedy potrzebowała mnie najbardziej. Złamałem przysięgę już dwa miesiące po ślubie, a ona tyle razy doświadczyła opuszczenia: przez rodziców, którzy jej się pozbyli, a potem przez wszystkie kolejne rodziny zastępcze.

Jak mógł tego nie dostrzegać? Był tak skupiony na potrzebach ludzi na innym kontynencie, że przeoczył potrzeby swojej żony. Przed ślubem znali się dwa miesiące, a wyjechał dwa miesiące po ślubie. Wydawało mu się wtedy, że Sam już się wyzbyła wszystkich lęków i kompleksów. Panicznie bała się spotkania z jego rodziną i ich nie polubiła. Nie wierzyła, że mogą ją pokochać. Tylko jemu, nikomu innemu, potrafiła oddać serce i powierzyć swoje tajemnice.

A gdy zdobyłem jej zaufanie, porzuciłem ją, żeby robić to, co lubię, przekonany, że moja miłość jej wystarczy.

Dopiero teraz po latach, po bolesnych doświadczeniach zrozumiał, ile poświęciła, by on mógł realizować swe marzenie. Traktował ją jak satelitę? Poznał wszystkie jej lęki i obawy, ale czy zainteresował się jej marzeniami i potrzebami?

Wątpliwe. Dopasował ją do swojego życia, przez krótki czas dając jej miłość, po czym zniknął. Czy ona słusznie podejrzewa, że pragnie jej za to, co mu dała?

Ciekawe, co według Sam on chce od Casey?

Przez dwa lata zdążył oswoić się z myślą, że znowu będą razem, ale ona zaledwie od dwóch godzin wie, że on żyje. Tego nic nie zmieni. Ona potrzebuje czasu. On także. Oboje się zmienili, więc muszą się oswoić nie tylko z sobą.

- Nie będę ci już przeszkadzał. - Oparł się na kuli, żeby się nie zbłąźnić, upadając przed nią, i musnął ją wargami. - Dobranoc. Do jutra.

Nie odpowiedziała, ale jemu wystarczył lekki rumieniec na jej policzkach.

Powoli idąc w stronę taksówki, przysiągł sobie, że wkrótce ją odzyska, że Sam znajdzie się w jego ramionach i w jego łóżku tak, jak on tego chce.

Chce? Musi ją mieć. W ciągu dwóch godzin po raz drugi postawiła jego świat na głowie. Nie wspomniała o latach gniewu i żalu. Jednym pocałunkiem uszeregowała jego mieszane uczucia, na pierwsze miejsce wysuwając... pożądanie.

Jako lekarz wielokrotnie się zastanawiał, jak to się dzieje, że normalni ludzie zmieniają się w roztrzęsione wraki gotowe kłamać, oszukiwać, kraść, a nawet zabijać, by zdobyć dawkę narkotyku, który pozwala im zapomnieć o losie, jaki sami sobie zgotowali.

Dla niego tym jest Sam. Jego uzależnieniem, największą słabością, a zarazem siłą. Przeżył lata udręki bez niej, bo przy życiu trzymała go myśl, że znowu będą razem. Z całego serca pragnie, by nadal była jego żoną.

Zawsze uważał, że jest silny, że to Sam go potrzebuje, ale niezależnie od tego, jak bardzo się zmieniła, to on jej potrzebuje. Coś musiało się stać, bo nie chciała z nim rozmawiać, musiał ją do tego prowokować. Hamowała też ich seksualność, odmawiając mu fizycznej bliskości. Nie będzie nalegał, dopóki nie odzyska jej zaufania. Jak powiedziała, sam seks nie wystarczy.

Czy ja jej wystarczę? W tym stanie? Czy potrafię być dobrym ojcem, czy to też schrzanię?

Jeżeli Sam coś ukrywa, nie ujawni tego, dopóki nie oswoi się z myślą, że on żyje i do niej wrócił... oraz do Casey.

Casey. Tej jednej furtki Sam nie może przed nim zamknąć. Jeśli zdobędzie zaufanie Casey, mają szansę stać się rodziną. Jeden Bóg wie, jak bardzo tego pragnął. Tyle lat pustki ze świadomością, że zostawił jedyną osobę, która trzymała go przy zdrowych zmysłach, dawała poczucie bezpieczeństwa. Bez Sam...

Przed oczami przesuwały mu się przygnębiające obrazy: rodziny rozdzielone przez wojnę, osierocone dzieci, kobiety i mężczyźni błakający się jak owce poszukujące pasterza, ponieważ ich partnerów porwano lub zabito.

Złą obrał drogę. Bez Sam znalazł się na rozdrożu. Bez rodziny był zagubiony jak te owce w Mbuce.

Znowu te przekłete koszmary. Ale takie jest życie. Chyba od początku o tym wiedział. Powrót do Sam nie uwolnił go od tych wspomnień, czas się nie cofnął.

Czy kiedykolwiek jeszcze będzie normalny? Czy w jego sercu zostało coś, co może ofiarować tej ślicznej delikatnej dziewczynce, nie tylko Sam?

Czy z nim będzie im lepiej? Czy sama jego obecność ich nie zniszczy tak, jak kontuzja kolana zniszczyła jego karierę?

Nie mogła zasnąć. Burza już się przetoczyła, ale powietrze nadal było wilgotne i ciężkie.

Tej nocy miejsce wspomnień zajęły rozmyślenia o Casey. Postanowiła, że nie może dopuścić, by Brett za bardzo się do niej zbliżył, bo w dalszym ciągu może złamać jej serce.

Westchnęła, odwróciła się na drugi bok, ale sen nie przychodził. Widziała to w oczach Brettta, gdy tylko przejął kontrolę. Łowca wrócił, ale nie polował na Casey. On pragnie usidlić ją...

Nic w tym dziwnego. W łóżku byli jak huragan, nienasyчени i zawsze sobą zachwyceni. Dawali sobie prawdziwą miłość. „Sam, do nikogo nie czułem tego, co do ciebie. Kocham cię nad życie”.

Uderzyła pięścią w poduszkę. Przez tyle lat każdego dnia odpędzała od siebie te wspomnienia. Dlaczego, dlaczego musiał wrócić akurat wtedy, kiedy wydawało się jej, że wychodzi na prostą?

Nie spotykała się z żadnym mężczyzną, bo jej serce było tylko dla Casey. Między nimi nie stanął żaden mężczyzna.

Chyba sama przyznasz, że żaden nie dorównuje Brettowi. Wystarczyło, że na ciebie spojrział, a już byłaś jego.

Przeszył ją przyjemny dreszczyk. Brett był jej najwspanialszą katastrofą, pozbawił ją barier, nauczył żyć pełnią życia nawet wtedy, kiedy tego nie chciała. Oplakując go, ani przez chwilę nie żałowała swojej miłości.

Teraz wrócił. Wcześniej dał jej Casey, najwspanialszy dar, jaki otrzymała w całym swoim życiu. Nawet gdyby chciała, nie ma prawa go odtrącić, nawet gdyby jego ostatecznym celem było wywiezienie Casey do Melbourne i odebranie jej prawa do opieki nad nią. Już nie warto się ukrywać. Musi pogodzić się ze zmianami w swoim spokojnym i wygodnym życiu... I zatrzymać Casey.

Mogłaby znowu gdzieś się przeprowadzić, ale Brett jej uświadomił, że tu nie chodzi o jej życie albo poczucie bezpieczeństwa. Nieobce jej było życie bez rodziny, bez miłości, więc nie ma prawa odbierać dziecku tego, co mu się należy. Łącznie z miłością rodziny Brett?

Na tę myśl zrobiło się jej niedobrze. Skoro już wiedzą, że Casey nie widzi, bez trudu ją odnajdą.

Poczuła, że zbliża się koniec jej ułożonego życia w Sydney. Zrobi wszystko co najlepsze dla Casey, ale też zrobi co w jej mocy, by ratować swoje serce. Brett wrócił, by się leczyć. Ile czasu upłynie, zanim znowu postanowi ratować ludzkość, pozostawiając ją samą w obliczu sądowych awantur z jego rodzicami?

Trudno było jej uwierzyć, że Brett zostanie w Australii. Zdawała sobie sprawę, że jej osobowość nie pomaga ludziom pokochać jej na całe życie. Biologiczni rodzice, rodzice zastępczy, znajomi, rodzice Bretta, a nawet Brett nauczyli ją jednego: prędzej czy później od niej się odchodzi. Ale jeśli Glennonowie zdołają odebrać jej Casey, jej życie straci sens.

Musi jak najdłużej opóźnić jego wyjazd z Casey do Melbourne. Skoro nie odebrała mu wiary w dobroć jego rodziców, ma tylko jedno wyjście: zamknąć przed nim drzwi swojej sypialni. Nie wolno jej znowu go pokochać, bo jeśli na to przystanie, nie będzie miała po co żyć.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

- Mamusiu, po co przyszedł pan Glennon?

To samo pytanie Sam zadawała sobie przez całą nieprzespaną noc. Jego pojawienie się błyskawicznie zburzyło jej spokojny żywot. Jak za pierwszym razem.

Miłość od pierwszego wejrzenia. Zanim go poznała, uważała to za sentymentalną bzdurę. Jak można pokochać kogoś, kogo się nie zna?

Mając dwadzieścia dwa lata, sześć lat po tym, jak opuściła ostatnią rodzinę zastępczą, osiem, odkąd zabrano ją z domu dziecka, miała niewielu zaufanych przyjaciół. Nie zadawała się z mężczyznami. Nie planowała się zakochać aż do dnia, kiedy spojrzała w piwne oczy mężczyzny, który zdejmując buty na przyjęciu, podbił jej serce.

- Mamo...

Sam się otrząsnęła.

- Chciał cię odwiedzić. - Ale to nie do końca prawda. Dziewczynka ważyła w myślach jej słowa.

- Dlaczego nie przyjechał wcześniej? Wstydzi się mnie, bo nie widzę?

O Boże, Casey odziedziczyła jej kompleksy.

- Nie, skarbie - odparła drżącym głosem, mocno przytulając dziewczynkę. - Mieszkał bardzo daleko. Zauważyłaś, że dziwnie chodzi, prawda? Długo chorował.

- Aha. - Casey wygładziła sukienkę w niebieskie kwiatki i potrząsnęła główką.  
- Spodobam się panu Glennonowi?

- Na pewno.

Odwróciwszy się w stronę drzwi, Sam zobaczyła Bretta, który stał tam z szerokim uśmiechem na twarzy.

Serce zaczęło jej bić szybciej, mimo że ten uśmiech był przeznaczony dla Casey. W dzinsach i bluzie z nadrukiem ulubionej drużyny futbolowej wyglądał jak pierwszy z brzegu tata, który wybiera się z dzieckiem do parku... Ale sto razy bardziej seksownie.

Podszedł bliżej i oparty o kanapę, przyglądał się swojej córeczce z rozbawieniem. Ona tego nie widzi, pomyślała Sam, współczując mu z całego serca. Twój uśmiech nie zrobi na niej żadnego wrażenia!

Ale gdy się odezwał:

- Jaką mam śliczną córeczkę! - ten uśmiech dało się słyszeć w jego głosie. Ku zdumieniu Sam Casey zareagowała rumieńcem i cichym śmiechem. - Czuję, że podczas tej randki będę musiał odganiać chłopaków kijem bejsbolowym przeznaczonym wyłącznie do ochrony mojej córki.

Casey przechyliła głowę.

- Co to jest randka?

Podszedł do niej, po czym niezdarnie przyklęknął.

- Randka jest wtedy, kiedy kobieta i mężczyzna idą gdzieś razem, bo tak im się podoba.

„Chodźmy o północy na pokaz ogni sztucznych nad rzeką”, powiedział tamtego wieczoru, kilka minut po tym, jak całowali się po raz pierwszy. „Pójdziemy boso nad rzekę, napijemy się gorącej czekolady, pospacerujemy, będziemy trzymać

się za rękę. Chodź ze mną, bo to takie nieodpowiedzialne i fajne. Kompletnie bez sensu. Życie jest piękne".

Bolesne wspomnienie. Do tej pory unikała spacerów nad rzeką, żeby nie oglądać szczęśliwych zakochanych.

- Nie jestem kobietą - zauważyła Casey, wyciągając rękę, żeby poznać przyczynę jego niepewnego chodu. Gdy szedł do niej, słyszała, jak powłóczył nogą i stukał kulą.

- Niech no zajrzę do regulaminu randkowania. - Zaszleścił kawałkiem papieru w kieszeni. - Aha, punkt 347a: „Miejsce kobiety może zająć piękna dziewczyna".

Gdy Casey obmacywała jego kulę, Sam z niepokojem czekała, kiedy rozpocznie się przesłuchanie.

- Pan się uśmiecha, panie Glennon, słyszę to.

Spochmurniał.

- Ej, jak się idzie na randkę, to nie zwraca się do siebie po nazwisku.

- To jak mam się do pana zwracać?

Zawahał się, po czym poszedł na całość.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyś nazywała mnie tatą.

Niestety. Uśmiech Casey zgasł, a kula wypadła jej z rąk. Zwiesiła głowę.

Podniósł wzrok na Sam, która bezgłośnie powiedziała:

- Wycofaj się! - Sugestia, że mógłby wejść do rodziny, przeraziła ją tak samo jak Casey.

Poczuł się pokonany.

- Ale na razie może być Brett.

Casey się rozchmurzyła.

- Brett, z przyjemnością pójdę z tobą na randkę.

Odczuł wielką ulgę. Krok po kroku, stary. Kroczek po kroczeniu, poprawił się w myślach.



Kurczę, nie powinien za wiele sobie obiecywać po tym spotkaniu. Wiązał z nim ogromne nadzieje, na wyrost. Ma teraz okazję poznać Casey, a także Sam. Po tym, co wczoraj do niego dotarło, to i tak więcej, niż mu się należy.

Nie był dobrym mężem, więc na jakiej podstawie sądzi, że będzie dobrym ojcem?

- Idziemy. - Otworzył drzwi.

Sam wyciągnęła rękę w stronę Casey, ale on, kierując się intuicją, powstrzymał ją.

- Casey, idź przodem. Spotkamy się przy furtce.

Sam rzuciła mu spojrzenie pełne zdumienia.

- Nie dojdzie sama do samochodu.

Ściągnął brwi. Dlaczego?

- Nie nauczyłaś jej, ile kroków jest do furtki?

- Nauczyłam.

- Ale ani razu nie pozwoliłaś jej samodzielnie pokonać tej odległości?

Pięcioletniej dziewczynce?

Na pierwszym spotkaniu w ośrodku dla dzieci głuchych i niewidomych dowiedział się, że należy takie dzieci uczyć samodzielności na wypadek nieprzewidzianych sytuacji. Choćby po to, by wiedziały, co robić, gdy rodzic zachoruje albo ulegnie wypadkowi. Taką wiedzę należy im konsekwentnie wpajać. Chyba Casey nie jest za mała, żeby samodzielnie dojść do furtki we własnym domu?

Czego jeszcze Sam jej nie nauczyła? I dlaczego? Dlaczego nie zależy jej na tym, żeby mała była silna i niezależna?

Sam spuściła głowę, a Casey stała w miejscu.

Świadom ryzyka, jakie podejmuje, bo dla Casey był obcym, a dla Sam intruzem, zwrócił się do córki:

- Zaczekaj na nas przy furtce. Potrafisz tam dojść, prawda?

- Jasne. Patrz na mnie. - Dziewczynka dumnie wypięła pierś i z uśmiechem położyła rączkę na poręczy. Odliczyła trzy schodki, po czym ostrożnie ruszyła przed siebie.

- Casey, uważaj na... - zaczęła Sam.

Brett już wcześniej się upewnił, że na ścieżce nie ma żadnej przeszkody, więc poczuł się zmuszony działać, nim Sam popsuje dziecku smak samodzielności. Objął ją i wargami zamknął jej usta. Nie opierała się.

Nie spiesz się. Nie zmuszaj jej do tego, do czego sam jeszcze nie jesteś gotowy.

Więc całował ją tak czule, że zapomniała o bożym świecie. A w tym czasie mała dziewczynka po raz pierwszy szła sama ścieżką aż do furtki. Jej twarzyczka promieniała dumą.

- Ziuuu! Mama, zobacz, mama, zobacz!

Jej kruszynka na sznurowej huśtawce bez zabezpieczenia szybowwała w korony drzew, płosząc różowo-szare rozkrzyczane ptaki.

- Pięknie, kochanie - odparła Sam słabym głosem.

Dlaczego ona na to się zgodziła? To konsekwencja jej poczucia winy z powodu jego długiej nieobecności w życiu córki.

Jednak głównym powodem był smutek w jego oczach, kiedy o to poprosił, tęsknota, z jaką patrzył na córeczkę. Był nieznajomym dla własnego dziecka, którego radość mogłaby mu pomóc w najmroczniejszych chwilach...

To moja wina, to wszystko moja wina.

Zgadając się na ten wypad, skapitulowała. Zamiast spaceru po dobrze znanym Casey dzielnicowym parku, pojechali do parku rozrywki na obrzeżach Parramatty, w pobliżu centrum handlowego na zachód od Sydney. Bawiło się tam jeszcze kilkanaścioro dzieci w podobnym wieku i Brett ubzdurał sobie, że dodatkową atrakcją będą gapie wpatrzeni w niewidomą dziewczynkę.

Zamiast prowadzić ją po schodkach wiodących do poszczególnych urzędów, pozwolił jej liczyć, a sam ostrzegał ją, gdy znalazła się trzy kroki przed platformą lub innym dzieckiem. Sam wiedziała, że jest to najlepsza metoda, ale nigdy nie potrafiła się przełamać, zwłaszcza w miejscach publicznych. Powtarzała sobie: „Jak będzie trochę starsza, jeszcze jest za mała”.

Oprzytomniała, gdy tuż obok stanął Brett.

- Casey postanowiła samodzielnie zsiąść z huśtawki - oznajmił.

Sam zerwała się z ławki, żeby jej pomóc, ale Brett ją zatrzymał.

- To jest mój dzień - przypomniał jej. - Jestem jej ojcem. Na pewno nie pozwolę, żeby zrobiła sobie krzywdę.

- Nie wiesz, co się może stać - obruszyła się.

- Wszystko zawczasu sprawdziłem. Nic jej nie zagraża. Co najwyżej obtarte kolano.

- Co takiego?! Skaleczyła się?

- Ależ nie. - Dotknął jej ręki. - Sam, nie spuszczam z niej oka. Zrelaksuj się. Ciesz się słońcem i pozwól mi poznawać moje dziecko, a jej poznawać ojca.

- Dobrze. - Pokiwała głową.

- Dzięki. - Uśmiechnął się, po czym delikatnie musnął jej wargi, przyprawiając ją o rozkoszny dreszczyk. - Nie zawiodę cię.

Potrafił sprawić, że z doskonale zorganizowanej samotnej matki stawała się kobietą, która chce więcej, niż ma, więcej, niż się jej od niego należy. Czy on może jej pragnąć po tym, jak pozbawiła go kontaktu z jego dzieckiem? Nadal nie znał przyczyny, dla której wyjechała z Melbourne, ale najwyraźniej nie stracił do niej zaufania.

- Brett... - Zawahała się. Przecież sama powiedziała „Nie dotykaj mnie”. - Ja nie... - Westchnęła. - Nie spiesz się. Jesteś tu z Casey, nie ze mną.

- Naprawdę? - Przeniósł spojrzenie na dziewczynkę, która zbliżała się do małej karuzeli. - Tak trzymaj, Casey. Jeszcze sześć kroków! - zawołał. Obserwował,

jak mała dotyka nieznanego urządzenia, jak próbuje z niego skorzystać bez niczyjej pomocy. - Postaw jedną nogę na brzegu, a drugą się odepchnij. Na początek powolutku... I mocno się trzymaj.

Casey posłała mu promienny uśmiech.

Brett spojrzał na Sam.

- Ona jest niesamowita. - Nie krył uznania. - Nikt by nie pomyślał, że nie widzi. Ciągle nie mogę uwierzyć, że ten skarb jest moim dzieckiem. Gdyby... - Potrząsając głową, ruszył w stronę córki.

Nietrudno się domyślić, co chciał powiedzieć. To uczucie nachodziło Sam tysiące razy. Duma, radość, miłość zmieszane z żalem, że temu wyjątkowemu dziecku z powodu niepełnosprawności nie jest darie czerpać z życia pełnymi garściami.

Ten bagaż ich łączy, ale też jest nader niebezpieczny. Brett rozumie jej ból, a ona, pragnąc go, ryzykuje wszystko.

Nie minęła doba, a zburzył jej poukładane życie. Zanim zaakceptowała fakt, że Brett żyje, przejął nad nią kontrolę, pozbawił poczucia bezpieczeństwa, skrytykował jej metody wychowawcze po jednej godzinie w parku. Najgorsze jednak było to, że miał rację.

Teraz z kolei ją przerażał. Bujał Casey na huśtawce tak mocno, że z każdym dotknięciem ziemi aż podskakiwała, śmiejąc się do rozpuku.

- Jeszcze, Brett, jeszcze!

Pozwolił jej zjechać ze zjeżdżalni, nie czekając na nią na dole. Ku jej radości pozwolił jej spaść do piaskownicy.

- Mogę jeszcze raz?

Po trzydziestu minutach takich tortur Sam nie wytrzymała.

- Brett, myślę, że wystarczy.

Mając za nic jej cierpliwość, Casey zaczęła lamentować.

- Mamo, ja się chcę bawić z Brettem. Jeszcze nigdy nie było tak fajnie.

Mocno dotknięta Sam spiorunowała Bretta wzrokiem, na co odpowiedział współczującym, ale też i nieśmiałym uśmiechem, jakby wyczuwał, że jest bliska łez.

Nikt nie znał jej tak dobrze jak on. Tylko on wysłuchał całej jej biografii... Nie myśl o tym.

- Hu! Ten dzieciak ma niespożytą energię. - Otarł pot z czoła i opadł obok niej na ławkę.

- Gdzie ona jest? - zaniepokoiła się Sam, po czym zobaczyła Casey na schodkach zjeżdżalni.

- Siedem stopni! - zawołał Brett. - Jak na dziecko pięcioletnie, ona świetnie liczy. Domyślam się, że życie ją zmusiło. Sam, nie denerwuj się, jest z koleżanką.

- Ona nikogo nie zna, to skąd...?

- Spokojnie, maleńka. Dzieci błyskawicznie nawiązują znajomości. To całkiem naturalne.

Sam osłupiała. Zawsze uważnie przyglądała się dzieciom, które bawiły się z Casey, oraz ich rodzicom.

- Co będzie, jak wyjdzie na jaw, że jest niewidoma? - zapytała z lękiem.

- Już to wiedzą. I mama, i ta dziewczynka. Dziewczynka zwolniła, żeby Casey mogła dotrzymać jej kroku, i trzyma ją za rękę.

Spoglądając pod słońce, stwierdziła, że tak jest w istocie. Matka dziewczynki nie spuszczała z nich oczu. Kiedy dostrzegła, że Sam je obserwuje, uśmiechnęła się i gestem ją uspokoiła. Po dziesięciu minutach dziewczynka przyniosła swoje lalki Barbie, odczekała, aż Casey zaznajomi się z nimi oraz ich ubrankami, po czym obydwie usiadły na ziemi i zaczęły się bawić. Jak normalne dzieci.

Sam przypomniała sobie, że tylko raz tak się bawiła, w jednej z rodzin zastępczych, u której spędziła pół roku. Zaprzyjaźniła się wtedy w szkole z Lyndal, dziewczynką tak otwartą i bezpośrednią, jak ona była nieśmiała. Lyndal często zapraszała ją do swojego domu. Nauczyła ją cieszyć się fantazjowaniem oraz romanssem Barbie i Kena.

Potem Sam wróciła do domu dziecka, bo matka zastępcza zachorowała na serce, a ojciec nie dawał sobie rady z chorą żoną i dziećmi.

Coś w niej drgnęło. Chciało jej się płakać, więc odwróciła głowę, żeby Brett tego nie widział.

- Muszę zrobić zakupy - powiedziała, starając się zapanować nad drżeniem głosu. Czuła, że musi się oddalić od smutku i silnych emocji oraz od człowieka, który je wywołał. Od Bretta. - Wrócę za godzinę.

- Sam, nie chcę sprawiać ci przykrości. Chciałbym tylko zaprzyjaźnić się z Casey. O nic więcej nie proszę.

Na razie. Oboje doskonale wiedzą, że czas spędzony z córką to nie wszystko... To „więcej” nabierało przerażających rozmiarów, gdy w grę wchodziła jego rodzina.

Zorientowała się nagle, że od rana ani jednej myśli nie poświęciła Glennonom. Czuła, że musi uciec tylko od Bretta.

- Muszę iść.

- Podwiozę cię - zaproponował.

Powiedział to bardzo cicho, jak zawsze, gdy domyślał się, że nękają ją wspomnienia z dzieciństwa, i czuł się bezradny. Mógł jej pomóc jedynie swoją obecnością i miłością. Ale ona nie może pozwolić, by ta miłość ożyła!

- Nie, nie. - Zerwała się z ławki. - Za kilka minut mam autobus pod samą galerię. Nareszcie będę mogła zrobić zakupy bez Casey, która zawsze nalega, żebym wykupiła pół stoiska z czekoladą. Skorzystam z tego, że tu jesteś.

- Zapewniam cię, że pod twoją nieobecność nie wywiozę jej do innego stanu. Casey jeszcze dobrze mnie nie poznała.

Nie zapomniał, że zawsze uciekała od silnych emocji. Niech to szlag... Zbyła to śmiechem.

- Wcale się tego nie obawiałam. Już nie jestem wrakiem emocjonalnym jak kiedyś.

- To oczywiste, Sam. Zmieniłaś się. Dojrzałaś. - Patrzył jej w oczy.

Nie jesteś tą dziewczyną, którą kochałem.

Te niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu. I chociaż wmawiała sobie, że we dwie z córką stanowią idealną komórkę rodzinną i że nie potrzebuje jego miłości, by czuć się spełniona, boleśnie ją zraniły.

- Na wszelki wypadek zapytam ją, czy mogę odejść. Nigdy jej z nikim nie zostawiałam poza szkołą i ośrodkiem.

Ku jej zdziwieniu Casey nie miała nic przeciwko temu. Zajęta z Kimberley lalkami, upewniła się tylko, czy Brett zostanie.

- I kup mi czekoladowe jajko z niespodzianką.

- Dobrze, myszko - odrzekła Sam przez ściśnięte gardło.

Nie chciała oglądać litości w oczach Brett'a, a uległa swoim własnym tęsknotom.

W ciągu niespełna jednego dnia z jedynej podpory Casey stała się jej dostarczycielką czekolady. Jeszcze wczoraj marzyła, by mieć czas dla siebie, być sobą, Sam, a nie mamusią. Teraz to dostała dzięki Brettowi.

Ruszyła do przystanku, nie oglądając się za siebie.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zajeżdżał pod dom Sam ze świadomością, że jej się naraził. Nie miał jednak pojęcia, czym. Nie chodziło o Casey bo z każdą nową atrakcją zajmował coraz więcej miejsca w jej serduszkach. Ale w drodze do domu Sam odpowiadała jedynie na pytania Casey. Jakby była na granicy łez albo tłumiała wściekłość. I to nie z powodu córki.

Drodzy państwo, dzisiejszego wieczoru czeka nas wielka walka, pomyślał. Dwanaście rund z czempionem, Sam Glennon, która nie jest dzisiaj w nastroju do zabawy!

Casey ziewała sennie po kolacji w pizzerii.

- Ale było fajnie - westchnęła, gdy Sam przykrywała ją w łóżku. - Jutro też tam pojedziemy?

- Jutro masz lekcję pływania - odparła Sam. - Angela się zmartwi, jak nie przyjdiesz.

- Uhm. Ale pojutrze?

- Mam inny pomysł, żabko. Zrobimy sobie w domu piknik nad basenem.

Dziewczynka ułożyła usta w podkówkę.

- Ja chcę pojechać z Brettem! Ja chcę...

- Odwiozę was do ośrodka - zaproponował Brett, by zapobiec katastrofie. - Przy okazji poznam twoje koleżanki.

Ta propozycja nie do końca zadowoliła Casey.

- No dobrze. Mamo, dlaczego jesteś taka naburmuszona? Żle się dzisiaj bawiłaś?

Brett ruszył Sam na odsiecz.

- Przeczytać ci coś na dobranoc?

Casey błyskawicznie usiadła na łóżku.



- Tak! Tę nową bajkę o zaklętej miotle!

Sam niepewnym gestem podała mu książkę - napisaną alfabetem Braille'a. Ale on nie spiesząc powiódł palcami po stronie tytułowej.

- O! Magiczna miotła Mysi. Fajny tytuł. Ciekawe o czym.

Za plecami usłyszał podejrzaną chlipnięcie. Gdy odwrócił się zadowolony z niespodzianki, jaką przygotował na tę okoliczność, Sam wyszła z pokoju.

Zdruzgotana.

Ściągnął brwi. O co chodzi?! Kiedy czekał w Melbourne na jej adres, przyszło mu do głowy, że poznanie alfabetu dla niewidomych będzie idealnym sposobem nawiązania kontaktu z Casey. Chyba w ten sposób pokaże Sam, że jest gotowy i chętny podjąć się roli ojca dziecka specjalnej troski?

Nim skończył czytać, Casey zasnęła.

Położył książkę na podłodze i zaczął przyglądać się córeczce. We śnie wyglądała jak figurka z najdelikatniejszej porcelany. Oto moja córka, moje dziecko.

Zrobiło mu się dziwnie ciepło koło serca. Uśmiechnął się i odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

- Odłóż książkę na półkę. Bo może się o nią potknąć, jak wstanie.

Wyzwanie rzucone. Drodzy państwo, runda pierwsza! Posłusznie odłożył książkę na miejsce, po czym pokuśtykał do salonu.

- Wal, aniele. Ochrzań mnie za wszystko, co dzisiaj źle zrobiłem - powiedział, uśmiechając się półgębkiem.

Ta możliwość rozładowania złości, na którą czekała od południa, nagle zbiła ją z tropu.

- Nie wiem, co powiedzieć. - Przymknęła powieki.

- W czym problem? Casey jest wspaniałym dzieciakiem i już mnie polubiła...

- Nic dziwnego, skoro podlizujesz się jej przejażdżką na kucyku i hamburgerami. - Westchnęła. - Myślałeś, że jestem zazdrosna? - Podniosła wzrok. - Może i tak. Nie jestem przyzwyczajona nią się dzielić. Ale nie dałeś mi na to czasu,

tym bardziej, że błyskawicznie zostałeś jej bohaterem. Ona jest za mała, żeby pojąć różnicę między dostatkiem i niedostatkiem. - Westchnęła znowu. - Brett, nie należę do Glennonów. Płacę za wynajem tego domu, za rachunki i za jedzenie i praktycznie nic mi nie zostaje. Jak mam sprostać apetytom, które w niej rozbudziłeś, po tym, jak wrócisz do Melbourne?

- Nie zamierzam... - Gdy dotarły do niego jej słowa, zamilkł, bo zdał sobie sprawę, że zapewnienia o finansowym i emocjonalnym wsparciu z jego strony na nic się nie zdadzą.

Kolejna wpadka. Zawsze miał za złe „weekendowym tatom”, którzy rozpuszczają dzieci, po czym oddają je matkom, by je zdyscyplinowały. Na stażu w izbach przyjęć miał do czynienia z setkami takich ojców. Ratował dzieciaki chore z powodu obżarcia frytkami oraz hot dogami i padające z wyczerpania, bo tatusiowie widujący je dwa razy w miesiącu bali się, że była małżonka dowie się o wszystkim i obedrze ich ze skóry.

Niestety wpadł w tę samą pułapkę. Chciałem tylko, by moje dziecko mnie kochało, żeby wiedziało, że i ja je kocham. Chcę mu wynagrodzić, że tak rzadko je widzę.

Kiedy po raz pierwszy wszedł do domu Sam, myślał tylko o tym, by poznać swoją córkę, nadrobić pięcioletnie zaległości, wynagrodzić jej niezawinione z jego strony zaniedbania. Więc uczył się Braille'a, czytał najnowsze opracowania na temat niewidomych dzieci, uczęszczał na zajęcia dla rodziców w ośrodku dla niewidomych. Był przekonany, że z łatwością pokaże Sam, że będzie dobrym ojcem... oraz mężem. Casey jest jego dzieckiem, należy do rodu Glennonów, a pozbawiono ją należnych jej...

Ale wtedy nie była dla niego rzeczywista, nie widział w niej osoby. Poprzedniego wieczoru przejrzał. Zajęty swoimi potrzebami i wyrzutami nie pomyślał, przez co przeszła Sam, w pojedynkę wychowując dziecko w przekonaniu, że jest wdową. Była zmuszona walczyć o przetrwanie i robiła to, nie narzekając i z

miłością. Ale słowa, które teraz padły z jej ust, mówiły o wiele więcej niż jej wcześniejsze zmieszanie czy odmowa. „Nie należę do Glennonów”.

Już nie czuje się jego żoną.

W trakcie bezsennej nocy, kiedy bał się zasnąć, żeby w koszmarach z Mbuki wśród twarzy ofiar nie ujrzeć żony i córki, postanowił staranować te bariery. Sprawić, że Casey go polubi i wówczas Sam uwierzy, że potrafi być dobrym ojcem.

Znajomość Braille'a oraz przekonanie, że Casey potrzebne jest poczucie niezależności, miały być wisienką na torcie. Widzisz, Sam, jakim jestem dobrym ojcem?

Oczywiście, pierwszego wieczoru łuski nie do końca spadły mu z oczu. Każda godzina, każda rozmowa z Sam obnażały jego niedoskonałości i pokazywały mu, ile jeszcze musi zrobić, by odzyskać jej zaufanie.

- Poprawię się. - Starał się nie okazywać, jak bardzo go zniechęca emocjonalny mur, jakim Sam się otoczyła, oraz błędy, które popełnił wobec Casey. - Jutro pojedziemy do ośrodka. I żadnych prezentów, atrakcji, kieszonkowego. Wyłącznie tata i córka. Okej?

Przytaknęła bez entuzjazmu.

- Brett, Casey nie zaistnieje w twoim życiu na tej samej zasadzie co ja. To ty musisz zaistnieć w jej życiu.

Zgoda. To da się zrobić. Ale na razie, ilekroć chciał zaimponować Sam tym, że potrafi się dostosować, ona studziła jego zapał. Jako ojcu musi mu dać drugą szansę; ale od męża i kochanka odgrodziła się murem. Ona nie ma pojęcia, jak bardzo mu zależy na przebiciu się przez ten mur, jak bardzo jest mu potrzebna, jak gorąco pragnie w jej ramionach zapomnieć o samotności pośród afrykańskiego koszmaru.

Ale czego ona pragnie? Czego potrzebuje? Czy ma choć odrobinę czasu dla mnie? Czy potrafię zaspokoić jej potrzeby?

Na te pytania nie znał odpowiedzi.

- Pójdę już - powiedział nagle. Jeśli zaraz nie wyjdzie, zrobi jakieś głupstwo. Na przykład zacznie ją całować, aż sama poprowadzi go do swojej sypialni. Mogłoby to zaspokoić głód nękający go przez sześć lat, ale jednocześnie przysporzyłoby mu nowych problemów. - O której jutro przyjechać?

- Na ósmą - odparła przygaszona. W zamyśleniu kiwała butem zawieszonym na palcach stopy. Znowu zapadła się w sobie. Naiwnością z jego strony było łudzić się, że natychmiast przyjmie go z otwartymi ramionami.

Może pora przypomnieć jej, że ją dobrze zna, nie poruszając bolesnych wątków z przeszłości, o których ona nie chce pamiętać.

Dałby wszystko, by cofnąć czas, żeby być takim jak dawniej, żeby Sam znowu była tak zaślepiona miłością jak wtedy, gdy w jej obecności czuł się panem całego świata.

- Sam, zdejmij buty. Przecież masz ochotę to zrobić - powiedział ciepłym tonem.

Uśmiechnęła się nieśmiało, po czym zrzuciła sandaalki.

- Lepiej?

Mrugnął do niej.

- Taką Sam pamiętam. - Powstrzymał się, by nie dodać jakiegoś pieszczotliwego zdrobnienia, co mogłoby ją wystraszyć. Na tym etapie nie był w stanie wyczuć, czy jego, żalostnego kuternogi, miłość mogłaby w czymkolwiek pomóc. - Zrobiłbym to samo, ale ostatnio machanie nogą mi nie wychodzi. Całe szczęście, że Casey jest dziewczynką. Nie dałbym rady kopać piłki z chłopakiem.

Roześmiała się. Podobnie jak on była wyczerpana: on cierpiał z powodu koszmarnych snów i bólu, ona musiała opiekować się niepełnosprawnym dzieckiem oraz przez sześć lat żyła w przeświadczeniu, że jest wdową.

Musi pamiętać o tym, by jej nie ponaglać. Najważniejsze to stać się tatą Casey i nie nadużywać sił oraz emocji Sam.

Zamiast imponować, należy jej pokazywać, bo w tej chwili nie wiedział, czy Sam czegokolwiek od niego potrzebuje prócz tego, żeby sobie poszedł i nigdy nie wracał.

- Dobranoc. - Spojrzeniem musnął jej wargi, jakby ją całował. Zauważyła to, o czym świadczył lekki rumieniec na jej policzkach. Dobrze skrywała swoje tęsknoty, ale sprawiała wrażenie spiętej, smutnej i samotnej.

Nie zauważyła, że podszedł bliżej, zapewne dlatego, że była potwornie zmęczona. To dziwne, bo stukot jego kuli obudziłby umarłego. Gdy delikatnie zaczął masować jej kark, westchnęła, a po chwili oparła o niego głowę.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie - szepnął jej do ucha.

- To nie najlepszy pomysł - powiedziała cicho.

- Co takiego? Masaż? Czy to? - Musnął wargami jej kark.

- Brett... - Była zła na siebie za tę nutę tęsknoty, która zadźwięczała w jej głosie. - Och, Brett...

- Samantho... - wymruczał. - Chodź tu do mnie.

Jak zahipnotyzowana zwróciła się ku niemu. Jego urok polegał także na tym, że trudno było się domyślić, co robi. Przygotowana na żarliwy pocałunek, który zaprowadzi ich do sypialni, wzruszyła się, gdy pocałował ją tak nieśmiało i czule, jak nastolatek po szkolnej potańcówce.

Tak ją całował pierwszej wspólnej nocy. Zdawał sobie bowiem sprawę, że z takim jak jej doświadczeniem przemocy niezmiernie trudno będzie jej zdobyć się na zaufanie, i bał się stracić tę szansę. Całował ją, jakby nadal była przestraszona, drżącą dziewczyną.

- Jestem tu dla ciebie - szeptał. - Jestem przy tobie.

Odsunęła się.

- Jak długo?

Jeszcze nie pora odpowiadać na to pytanie, nie teraz. Ani Sam, ani Casey nie są na to gotowe.

- Przysięgam, że do końca życia będę z Casey. Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy jej nie zostawię niezależnie od tego, co będzie z nami. - Kolano tak uporczywie dawało mu o sobie znać, że obszedł kanapę, usiadł obok Sam i ujął jej rękę. - Pragnę cię, musisz o tym wiedzieć - powiedział ostrożnie.

Ale ona cofnęła rękę.

- Nie dotykaj mnie. To nie jest w porządku.

- Wobec kogo?

- Wobec mnie, a przede wszystkim wobec Casey.

- Dlaczego?

Opuściła wzrok.

- Kiedy dowiedziałam się, że Casey nie widzi, przysięgam sobie, że nie zwiążę się z mężczyzną, który nie potrafi zaakceptować jej taką, jaka jest. - Splotła dłonie. - Nie wiem, Brett, czy ty to potrafisz, mimo że jesteś jej ojcem. Dzisiaj dobrze się bawiłeś, ale to nie wystarczy.

- Wiem, że ojcostwo to zdecydowanie więcej - odparł dotknięty - ale nie osądzaj mnie po dwudziestu czterech godzinach. Wyobrażasz sobie, że można się tego nauczyć w ciągu jednego dnia? Jak mam pokochać kogoś, kogo poznałem dopiero wczoraj?

- Ja pokochałam ją natychmiast.

- Znasz ją, od kiedy była w twoim brzuchu. Byłaś z nią, zanim przyszła na świat. Daj mi szansę ją poznać.

Widział smutek w jej oczach. Dałaby mu szansę, ale nie wierzy, że on zda ten egzamin. Co każe jej podejrzewać, że będzie złym ojcem...? Oprócz paru idiotycznych błędów, które dziś popełnił?

- Chyba już naprawdę pójdę.

- Brett, muszę stawiać ją na pierwszym miejscu. - Błagała go wzrokiem, by zechciał ją zrozumieć. - Wiem, jak się człowiek czuje, kiedy nie ma nikogo, kogo mógłby kochać i kiedy nikt go nie chce.

Sam, mój słodki cudzie, wróć do mnie i spraw, żeby ten koszmar się skończył.

W namiotach medycznych na polach walki w Afryce stracił dar perswazji i teraz zabrakło mu słów, które mogłyby do niej trafić. Więc trzymał ją mocno w nadziei, że jego serce powie jej więcej niż usta.

Chwilę później odsunęła się od niego.

- Brett, dobranoc. - Tłumiła łzy, ale zabrzmiało to jak ostateczne pożegnanie.

Wstał, opierając się na kuli.

- Powiem ci coś ważnego. Casey wie, że jest kochana. Jej uśmiech był jak tęcza po burzy.

- Dziękuję. Wyszedł.

Kolejna noc upłynęła jej na zastanawianiu się, czy Brett dotrzyma obietnicy. Jej córeczka musi mieć rodziców skoncentrowanych na jej potrzebach, a nie na dyskusjach, czy Sam słusznie z nią postępuje, czy powinna poznać dziadków. Odnalazł je, by poznać córkę czy aby zabrać ją do Melbourne?

Statystycznie prawo do opieki nad dzieckiem częściej jest przyznawane matkom, ale sąd może nakazać jej powrót do Melbourne, by ułatwić reszcie rodziny kontakty. Poza tym David Glennon zagroził, że zrobi wszystko, by pokazać światu, że nie jest dobrą matką.

Ona i Brett znają się bardzo krótko. Nie może oczekiwać od niego lojalności. Na to Brett może liczyć tylko ze strony swojej kochającej rodziny... która nie chciała wierzyć w jego śmierć, podczas gdy ona, Sam, uciekła.

A jeśli on uważa, że w jego rodzinie Casey będzie miała lepiej niż z nią? Czy dlatego dzisiaj złamał wszystkie zasady, które ustanowiła dla dobra córki? Czy może ma ją za potwora, który chce zdominować Casey?

Czy odebrała córce normalne dzieciństwo, pełne rodzinnego ciepła, uciekając z Melbourne, by uniknąć konfliktów z rodzicami Bretta? Boże, wybacz mi, jeśli moje tchórzostwo źle odbiło się na Casey. Jeśli odbiorą mi sens życia...

Mimo że chwilami miała wrażenie, że stoi przed nią mężczyzna, którego kiedyś kochała, te pozory błyskawicznie zniknęły. Brett zmienił się nie do poznania.

Nie wiedziała, czy powinna łudzić się nadzieją, że Brett stanie się prawdziwym ojcem, bo wówczas musiałyby przeprowadzić się do innego stanu oraz wrócić do życia na łonie rodziny Glennonów. Tej próby wolałaby Casey, oraz sobie, oszczędzić.





## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Zaraz będziemy na miejscu. Widzisz po prawej centrum handlowe? Ośrodek jest po lewej.

Brett byłby przeoczył wjazd zapatrzony w malownicze otoczenie ośrodka dla dzieci głuchych i niewidomych: niskie ceglane pawilony, dużo otwartej przestrzeni, kolorowe klomby.

- A co? Spodziewałaś się więzienia?

- Nie - odrzekł, uśmiechając się. - Ośrodek w Melbourne też jest ładny, ale tutaj jest wręcz sielankowo.

- Ja wolę Glenmore Park - wtrąciła Casey. - Bo tam ładnie pachnie.

- W Glenmore Park jest przedszkole integracyjne - wyjaśniła Sam - do którego Casey chodzi raz w tygodniu na naukę pływania.

- Dlaczego Glenmore Park ładnie pachnie?

Sam się uśmiechnęła.

- Bo wzdłuż ścieżek posadzono wonne zioła i kwiaty, żeby dzieci się orientowały, gdzie są.

Pokiwał głową z uznaniem.

- Dlaczego tego samego nie zrobiono tutaj?

- Brett - odezwała się Casey - ja ci pokażę, co się tutaj robi. Zabiorę cię na basen.

Sam pokierowała go w stronę parkingu. Ledwie zahamował, Casey wyskoczyła z auta i pobiegła na ścieżkę.

- Brett, chodź! - zawołała.

Casey chce mu pokazać, co potrafi?

- Idę, idę. - Przez ramię rzucił Sam teatralnie udęczone spojrzenie, czym bardzo ją rozbawił.

Casey wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę budynku, przed którym czekała na nią instruktorka. Casey skręcała tam, gdzie i ścieżka skręcała, a gdy zmieniła się nawierzchnia, wskazała na budynek.

- To tutaj. - Uśmiechnęła się. - Cześć, Angela.

- Skąd wiesz, że ona tu jest? - zapytał.

- Bo zawsze tu na mnie czeka.

Ze ściągniętymi brwiami obserwował, jak dziewczynka podchodzi do instruktorki.

- To kwestia bezpieczeństwa - wyjaśniła półgłosem Sam. - Dla tych dzieci rutyna jest bardzo ważna.

- Pierwszy raz widzę niewidome dziecko tak pewne siebie - powiedział zadumany. - Jakby... Sam, może ona coś widzi, choć trochę?

- Nieraz tak myślałam. - Mówiła z trudem. - Brett, nie rób jej tego. Była badana już cztery razy. Ślepotą całkowitą. A takie myślenie sprawia, że ona podejrzewa, że nie kocha się jej taką, jaka jest. Ona ma mniej pewności siebie, niż myślisz.

W lekcji pływania uczestniczyło jeszcze troje dzieci. Cała czwórka siedziała na ławeczce i swobodnie opowiadała sobie, jak minął im tydzień.

- Mam ojca - oznajmiła nagle z dumą w głosie Casey. - Jest tu ze mną.

- A ja już nie mam - westchnął jeden z chłopców. - Chyba mnie nie lubił.

- Myślałam, że mój tata umarł, ale on wrócił. I zabrał mnie w różne fajne miejsca. Może twój tata też wróci.

Potem Angela wezwała całą czwórkę do wody.

- Spodziewałem się, że będzie tu więcej instruktorów, jeden do jednego - rzekł półgłosem Brett.

- Dawniej tak było, ale później samorząd obciął dotacje, a same zbiórki dobroczynne to za mało. Pływanie należy do zajęć dodatkowych. Poza tym te dzieci już umieją pływać. Teraz pozostali instruktorzy zajmują się hydroterapią.

Rozejrzał się po pięknym basenie i jego wyposażeniu. Na pierwszy rzut oka nowym i bardzo nowoczesnym.

- Ośrodkowi chyba nie brakuje funduszy - zauważył.

- Połowę środków pozyskujemy sami - wyjaśniła. - Szukamy sponsorów, organizujemy zbiórki, udostępniamy do zwiedzania nasz ogród. Staramy się.

Patrzył, jak Casey pływa, z podziwem oraz narastającym poczuciem winy. A jeśli Sam i Casey potrzebowały kiedyś pomocy? Czy jego żona i córka były zmuszone żebrać, podczas gdy on zbawiał świat?

- Kto korzysta z hydroterapii i po co? - zapytał.

- Przede wszystkim dzieci z niepełnosprawnościami sprzężonymi. Zobacysz je. Mają problemy z chodzeniem czy poruszaniem się, ale kiedy znajdują się w wodzie, wyglądają tak, jakby odzyskały wolność. Samodzielnie się przemieszczają. Dzięki temu przez chwilę nie odczuwają upośledzenia. Ich uśmiech i radość dodaje nam energii.

- Jakie są wasze najnowsze nabytki? - spytał zafascynowany.

Czy Casey potrzebowała czegoś, na co Sam nie było stać? Bardzo chciał zrobić coś dla swojej córki...

- Kupiliśmy ulepszony model trampoliny oraz sprzęt do ćwiczeń. Nawet zwykła piłka gimnastyczna pomaga stymulować zwiotczone mięśnie. Dzieci bardzo to lubią. Dzięki takim ćwiczeniom lepiej śpią, a ich rodzice mają dzięki temu chwilę wytchnienia. Niektóre nie mogą zasnąć, jeśli nie wyhasają się w sali gimnastycznej albo w basenie.

Promieniała radością. Znalazła swoje powołanie. Emanowała spokojem i poczuciem spełnienia. Wyglądała na szczęśliwą.

Kiedyś jaśniała tak dla mnie. To ja byłem jej powołaniem. Nie myślała o niczym innym tylko o tym, bym był szczęśliwy. Zawstydzony egoistycznymi myślami, sondował dalej:

- Jaka jest twoja rola w pozyskiwaniu środków?

Uśmiechnęła się.

- Nawet nie wiesz, jaka jestem utalentowana. Szydełkuję. Robię kukielki i inne drobiazgi, które są sprzedawane podczas kiermaszów. Piekę ciasta. Sadziłam kwiaty i zioła z myślą o wystawie ogrodniczej w sierpniu. W przyszłym tygodniu odbędzie się aukcja dobroczynna. Żeby się do tego przygotować, poszłam na kurs.

- Na kurs? Czego?

- Jak zostaniesz dłużej, to zobaczysz. Może nawet zdecydujesz się coś kupić. Jak zostaniesz dłużej, pomyślał urażony, ale zarazem zaintrygowany, ona jednak już przedstawiała go rodzicom innych dzieci. Jako ojca Casey.

Nagle poczuł na skórze zimną wodę.

- Co jest...?!

Odwróciwszy się, nad krawędzią basenu ujrzał roześmianą twarz Casey.

- Zawsze chlapię na mamę, żeby sprawdzić, czy na mnie patrzy. Brett, ty nie patrzyłeś!

- Podziwiam cię cały czas. Pięknie pływasz.

Casey wzruszyła ramionami.

- Angela mówi, że wspaniale.

- Angela ma rację. Nie umiałem tak pływać, jak miałem pięć lat - przyznał.

Do Angeli, która była zajęta przy jednym z dzieci, podszedł młody mężczyzna. Chwilę później instruktorka zwróciła się do rodziców:

- Mam pilny telefon. Możecie ich popilnować?

Mimo że przed chwilą byli zajęci omawianiem planowanej aukcji, trzy matki i jeden ojciec jak na komendę stanęli nad basenem. Wówczas Brett powiedział:

- Rozmawiajcie dalej, a ja się z nimi pobawię.

Wszyscy prócz Sam z uśmiechem przystali na tę propozycję.

- Ta posadzka jest antypoślizgowa - poinformowała go - ale oni są mokrzy...

Jeśli któreś...

Położył jej palec na ustach.

- Będziemy się bawić na siedząco.

Ociągając się, przytaknęła.

Gdy dotknął jej warg, wyczuł, że Sam robi wszystko, by nie okazać, jak bardzo go pożąda. Boi się go czy tego, do czego może doprowadzić jego dotyk? Poprzedniego wieczoru zorientował się, że jego pieszczoty nie są jej obojętne. Nie reagowałaby tak, gdyby kogoś miała.

Ilekróć dzwonił do domu i dowiadywał się, że jej nie zastał, tego bał się najbardziej. Niepotrzebnie. Sam nie jest intrygantką. Gdyby kogoś miała, powiedziała mu o tym.

Przynajmniej to jest jasne.

- W co będziemy się bawić? - zapytał chłopiec o imieniu Mickey.

O kurczę, w co można bawić się z takimi dziećmi? Do głowy przychodziły mu same niestosowne propozycje: w chowanego, w berka, w dwadzieścia pytań...

- Może coś zaśpiewamy - rzucił.

- Taaak! - zawołali chórem, a on odetchnął z ulgą.

- Znacie „Zbudujemy mosty dla pana starosty”? O nie, odpada. Posadzka jest mokra, a ja obiecałem waszym mamom, że będziemy siedzieć.

Dzieciaki wybuchnęły śmiechem, nazywając go gapą, a on faktycznie tak się poczuł, widząc naburmuszoną twarzyczkę Casey. Skompromitował ją.

Niełatwo być tatusiem. Za wszelką cenę musi się poprawić. W końcu przypomniał sobie kilka odpowiednich piosenek i wyliczanek, tak że nim wróciła Angela, cała piątka zaśmiewała się do rozpuku.

Siedział, trzymając za rękę z jednej strony Casey, z drugiej chłopca, którego znał od godziny. Nie był pewien, czy odważyłby się go dotknąć, gdyby znał go dłużej. Zrobiło mu się ciepło koło serca. Ta mała rączka to tyle ufności...

Kiedy przeniósł wzrok na Sam, dostrzegł w jej spojrzeniu przychylnie zdziwienie... i cień szacunku.

Uśmiech rodziców, którym go powitali, gdy Angela podjęła lekcję pływania, był zdecydowanie cieplejszy niż podczas prezentacji.

- Ilu z was złożyło pisemne oświadczenie? - zapytała Sam. - Nie możemy sobie pozwolić na prawne reperkusje, więc tylko ci, którzy podpisali oświadczenie, mogą być wystawieni na sprzedaż.

Brett aż zamrugał. Ludzie na sprzedaż? Ale w porę go olśniło.

- Wystawiacie na aukcję randki z wolnymi rodzicami dzieci albo z ich krewnymi?

Anne, jedna z mam, przytaknęła.

- Mamy już zgłoszenia na trzy „obiekty”. - Zerknęła na Sam, która nagle się zaczerwieniła. - Pięćset dolarów za Sam to nasz rekord.

Poczuł delikatne kopnięcie. To Sam. Nikt nie wie, że Sam jest jego żoną. I ona życzy sobie, żeby tak zostało. Ale w nim aż się gotowało. Obcy mężczyzna kupuje prawo do towarzystwa jego żony?!

- Daję pięć tysięcy za kolację z Sam.

Powiedział to opanowanym tonem, ale czwórka rodziców aż zamarła.

- Każdą sumę za Sam przebijam dwukrotnie - oświadczył. - Na szlachetny cel, dla naszych dzieci.

Po chwili rodzice doszli do siebie, ale on czuł, że wywarł na nich niezapomniane wrażenie.

- Brett, możemy porozmawiać? - odezwała się Sam.

- Oczywiście.

Poprowadziła go na drugą stronę basenu, starannie omijając kałuże, a on zastanawiał się po drodze, czy Sam jeszcze potrafi zdobyć się na beztroskę, bo od pierwszego wieczoru w Sydney pokazuje mu się jako kobieta wyjątkowo ostrożna.

Ale nie wtedy, kiedy ją całuje.

Tak podbudowany położył jej ręce na ramionach.

- Mam prawo im powiedzieć, że jestem nie tylko ojcem Casey. I mam prawo stawać do tej licytacji.

Smutek w jej oczach go zaskoczył.

- Brett, masz prawo mówić, co chcesz, ale to ja poniosę konsekwencje twoich słów, kiedy znowu znikniesz.

Z całego serca pragnął powiedzieć: „Nigdzie nie zamierzam wyjeżdżać”, ale i tak by mu nie uwierzyła.

- Nie pozwolę, żeby inny mężczyzna się z tobą umawiał. Sam, jesteś moją żoną.

- Przestań. - Wyglądała na przestraszoną. - Ciszej. Jak Casey dowie się, że mamy ślub, będzie żądała ode mnie więcej, niż mogę dać.

- Na przykład?

- Na przykład kompletnej rodziny. Braciszków, siostrzyczek i taty, który z nami mieszka. Nie mogę jej tego zagwarantować. I ty też nie możesz.

- Jesteśmy rodzicami, a nie zabawką albo telewizorem. Nie jesteśmy przedmiotami. Sam, w życiu nie ma żadnych gwarancji.

Westchnęła.

- Nic nie rozumiesz. Casey brakuje wiary w siebie, ona jest małym przestraszonym dzieckiem. Należy się jej poczucie bezpieczeństwa, trochę szczęścia...

- Masz na myśli Casey czy siebie? - wszedł jej w słowo. - Zakładasz, że mając pełną rodzinę oraz pieniądze, miałem piękne życie. Może i miałem w porównaniu z tobą. Ale każdy ma problemy. Jeśli wkładasz jej do głowy, że coś nie jest jej dane i że zasługuje na więcej niż reszta ludzkości, bo jest niewidoma, to wyświadczasz jej niedźwiedzią przysługę.

Przymknęła oczy.

- Wiem, w porównaniu z dziećmi w Afryce...

- To nie jest kwestia porównywania, Sam, do dzieci w Afryce, dzieci widzących, bogatych, jakichkolwiek. - Odwrócił ją w stronę basenu, gdzie figlowały rozbawione maluchy. - Popatrz na nią. Casey nie brakuje pewności siebie i wcale nie jest przestraszona. Casey jest szczęśliwa i wie, że jest kochana. Wie też, nawet jeżeli ty tego nie wiesz, że jej ojciec będzie przy niej. Jeśli Casey chce mieć prawdziwą rodzinę, to jeżeli o mnie chodzi, nie widzę żadnych przeszkód.

Zbladła tak nagle, że pomyślał, że zaraz zemdleje.

- Nie.

Nie mogła wyrazić jaśniej tej odmowy, a jego nadzieje pękły jak bańka mydlana. Czuł, że musi wyjść, musi być sam, by się przed nią nie rozkleić.

- Więc jak Casey zacznie zadawać pytania, to ty jej powiesz, kto nie chce, żebyśmy byli rodziną.

- Brett...

- Nie. - Ruszył w stronę wyjścia. - Mam dosyć bycia w twoich oczach przyczyną wszelkiego zła. Nie wolno mi nawet powiedzieć mojemu dziecku, że jestem mężem jego matki.

- Brett! Brett!

Tylko ten głos miał moc go zatrzymać.

- Słucham, skrzacie.

Ociekając wodą, Casey sięgała po ręcznik.

- Chcesz zwiedzić ośrodek? Oprowadzę cię...

Jej pewność siebie go rozbawiła, wypełniając pustkę w jego sercu ciepłym i blaskiem.

- Z przyjemnością.

- Zaraz się ubiorę. Zaczekaj. - Zniknęła w szatni.

- Brett, posłuchaj...

Odwrócił się, ale tym razem blada twarz Sam nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.



- Nie mam prawa stawać do licytacji i nie mam prawa powiedzieć córce prawdy w kwestii, która na zawsze może zniszczyć moje z nią układy. Czy jeżeli wyjadę do Melbourne odwiedzić rodziców, a ty pod moją nieobecność znikniesz, to nakłamiesz jej, dokąd wyjechałem i dlaczego, żeby zatrzymać ją przy sobie? - Przeszył ją wzrokiem. - Czym zasłużyłem na taki brak zaufania prócz tego, że poszedłem za głosem serca, a potem wbrew swojej woli zostałem uprowadzony?

- Sam, mamy pytanie dotyczące tej kolacji. O, przepraszam, zaczekamy.

- Nie szkodzi, Anne. - Spojrzała na Brett. - Zajmiesz się Casey? Dołączę do was za chwilę.

Nareszcie jakiś krok do przodu, kroczek. Podała mu maleńką gałązkę oliwną. Byłby głupcem, gdyby jej nie przyjął.

- Za godzinę, przy samochodzie - powiedział.

- Brett... - Dotknęła jego ręki. - Gdybym mogła...

Czekał z zapartym tchem, ale Sam nie dokończyła.

Casey oprowadzała go po ośrodku. Pokazała mu, w jaki sposób faktury oraz różne odgłosy wydawane przez nawierzchnie ścieżek, a nie tabliczki z napisami alfabetem Braille'a, pozwalają niewidomym dzieciom zorientować się, gdzie się znajdują. Wśród labiryntu drózek w ogrodzie poruszała się pewnie i bezbłędnie.

Takie bystre, śliczne i dzielne dziecko. Szkoda, że moja wiedza chirurgiczna nie pozwala mi...

Z odległego końca parku obserwowała ich Sam. Przepeliśniały ją mieszane uczucia: duma, troska, strach i bezgraniczna miłość. Myślała tylko o tym, żeby porwać Casey na ręce i uciec tam, gdzie Brett ich nie znajdzie. Za późno. Prędzej czy później jej małą księżniczkę spotka bolesny zawód. Już nie zadowolili się tym, co Sam może jej dać, będzie domagała się od niej więcej czasu, uwagi, rozrywek oraz rzeczy materialnych.

Brett zawsze był perfekcjonistą i uważał, że jeśli czegoś się pragnie, należy zrobić wszystko, by to osiągnąć. Oby nie zaraził Casey nadzieją, o której wspomniał

rano. Ten lekarz, ten marzyciel, który chce zbawiać świat, chciałby naprawić martwy nerw wzrokowy dziecka. Gdyby Casey o tym się dowiedziała...

On jeszcze nie wie, jak smakuje porażka, ale w obliczu niedoskonałości swojego dziecka wkrótce się dowie.

## **ROZDZIAŁ SIÓDMY**

- Brett, przyjedziesz do nas na kolację?

Takie niewinne pytanie, a Sam aż ścisnęło w dołku, gdy spoglądała na słodką twarzyczkę Casey.

Panie święty, jak to się w życiu plecie. Nieodparty urok Bretta Glennona działa jednakowo i na matkę, i na córkę!

Nim odpowiedział, zerknął na Sam, po czym odparł z powagą, mimo że w oczach błyskały mu wesołe iskierki.

- Kto by potrafił odmówić aniołowi?

Casey aż podskoczyła z radości, ucieszona perspektywą spędzenia jeszcze paru godzin z tym fantastycznym człowiekiem, jakim okazał się jej ojciec. Tego dnia kochały go wszystkie dzieci, mimo że nic im nie dał oprócz daru godności i bezwarunkowej akceptacji.

W drodze do domu Sam patrzyła przez okno. Nie musiała widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że triumfuje. Uważa, że jest bliski wygranej. Niemal słyszała jego myśli: Casey lubi mnie... mnie, a nie to, co jej dałem.

Ciągle nie rozumie, że nie o to chodzi. Wolałaby, by Casey go nie pokochała, niż gdyby miała go pokochać i stracić. Z drugiej strony, nigdy jej nie życzyła, by w ogóle go nie poznała. Ciągle miała w pamięci swoją rozpacz, gdy straciła ukochanego Bretta.

Mimo jego zapewnień nie wierzyła, że Brett z nimi zostanie. Dzięki niemu świat stawał się ciekawszy, ale i bardziej niebezpieczny, a jej najbardziej zależy na bezpieczeństwie tej słodkiej dziewczynki.

Której dziewczynki? Małej Casey czy małej Sam?

Westchnęła. Obietnice Bretta są jak płomień, który rozgrzewa duszę, ale stłumi go każda nowa okazja zbawienia ludzkości. Teraz został bohaterem Casey, która frunie pod jego opiekuńczymi skrzydłami, ale jej skrzydła są podcięte.

Zerknął na nią zaniepokojony.

- Sam, czy to zaproszenie na kolację jest kłopotem finansowym? Zamówię coś.

- Dzięki, nie trzeba. Mam wrażenie, że przez minione dwa dni Casey już wystarczająco się objadła niezdrowym jedzeniem.

Casey zaburczała coś pod nosem.

- Mam składniki do pizzy - pocieszyła ją Sam.

- Może być - mruknęła dziewczynka. - Czy możemy z Brettem pojechać po colę? Usiądę z przodu...

- Czemu nie? - odezwał się Brett, nim Sam otworzyła usta.

- Kupcie lemoniadę - poprosiła go Sam. - Dostała taką dawkę kofeiny, że przez tydzień nie będzie mogła zasnąć.

Przytaknął z uśmiechem, który przyprawił ją o dreszcz.

- Z czasem nauczę się waszych zwyczajów.

Casey nie dała jej dojść do słowa.

- Podoba mi się ten samochód - oznajmiła, gładząc miękką skórę siedzenia. - Kupimy taki sam? O wiele tu przyjemniej niż w śmierdzących autobusach i kolejkach.

Sam zacisnęła zęby. Iluż to rzeczy Casey nigdy nie dostanie...

- Niestety nie, skarbie. Brett będzie cię woził, jak do nas przyjedzie. - Wsiadła z auta, jak tylko zatrzymali się na podjeździe. - Casey, przesiądź się.

Jedźcie po lemoniadę, a ja przygotuję pizzę. - Spojrzała na Bretta. - Sklep jest za rogiem.

W kuchni raz po raz ocierała oczy. To tylko cebula, tłumaczyła sobie.

- Mogę w czymś pomóc? - Brett postawił na stole butelkę i deser czekoladowy. Od razu wyczuł jej napięcie.

- Możesz. Bierz swoje pieniądze, swoje wytworne auto i wracaj do Melbourne. Zostaw nas w spokoju.

- Sam...

- Byłyśmy szczęśliwe - mówiła, siekając zajadłe cebulę i papryki. - Niczego nam nie brakowało. Aż ty się zjawiałeś i postawiłeś nasz świat na głowie. Casey nie miała pojęcia o rolkach, fast foodach, pizzeriach i luksusowych autach, lubiła jeździć autobusami i kolejką. Teraz powrót do normalności zajmie nam miesiące, a może nawet lata.

- Sam, ona do niczego nie musi wracać! Będę ją utrzymywał. - Chwycił ją za ramiona, ale ujrawszy jej łzy, złagodniał. - Przez sześć lat było ci bardzo ciężko, tak? A ja wszystko zburzyłem?

Nie miała siły wdawać się z nim w dyskusje.

- Co mam robić?

- Idź do Casey. Pobaw się z nią. - Podniosła na niego wzrok. - Ale jej nie rozpieszczaj, żeby zdobyć jej miłość. Tatuś to coś więcej niż dostawca pizzy. Prawdziwy ojciec nie znika, zwłaszcza ojciec dziecka niepełnosprawnego. Ich potrzeby nie mają końca. Jeśli sprawisz, że ona cię pokocha, będziesz dla niej taką właśnie potrzebą, ale jeśli wyjedziesz, ona nigdy tego nie zapomni, nigdy nie przestanie cierpieć i będzie ciągle czekać. Wiem coś o tym.

- Więc co mam robić? - powtórzył.

- Naprawdę nie wiesz? Jako lekarz stale opowiadasz pacjentom o odpowiedzialności, o ich potrzebach...

Westchnął.

- Po raz pierwszy w życiu widzę, jak prosty to zawód - przyznał. - Diagnoza, leki oraz porada oparta wyłącznie na teorii, po czym odsyłamy pacjenta do domu, zrzucając całą odpowiedzialność na niego i rodzinę. Tutaj jest prawdziwe życie. Tutaj jest moje dziecko. - Potrząsnął głową. - Sam, pomóż mi. Nie chcę popełniać błędów.

- Poczytaj jej, włącz muzykę, tańcz z nią, śpiewaj. Rozmawiaj z nią. Poznawaj.

Znowu ujął ją za ramiona, by spojrzeć jej w oczy. Po raz pierwszy nie wyczytał w jej spojrzeniu braku zgody.

Uśmiechnęła się, a gdy oparł czoło o jej czoło, nie odsunęła się, nie odwróciła głowy, nie zaczęła się bronić, po prostu czekała na pocałunek...

Znowu ją zaskoczył, muskając wargami jej policzek.

- Powiedz, czy przeze mnie jest ci trudniej? Chcę ci pomóc, a nie przeszkadzać. Jestem tu dla ciebie... zawsze.

- Brett, przestań... - wykrztusiła.

- Zdaję sobie sprawę, że zawiodłem cię, kiedy potrzebowałaś mnie najbardziej. Byłem tak skupiony na swoich marzeniach, że nie dostrzegałem twoich potrzeb, nadziei, zmian w twoim organizmie. Powinienem był zorientować się, że jesteś w ciąży, ale byłem zaślepiony. Sam, to się nie powtórzy - wyszeptał. - Będę przy tobie do samej śmierci. Już nigdy nie zostawię cię samej.

W mroku przedpokoju mała dziewczynka słuchała, jak Brett szeptał jej matce słowa miłości. Przygryzła wargę, odwróciła się i wróciła do pustego salonu.

- Bardzo ładna bajka. Dziękuję ci, Brett.

Westchnął. Gdy zerknął w stronę rzadko używanego telewizora, Sam odniosła wrażenie, że najchętniej by go włączył i posadził przed nim tego nieznośnego bachora, żeby zająć się uwodzeniem jego matki.

Magiczna więź między ojcem i córką pękła. Casey nagle przygasła, co bardzo zasmuciło Bretta nie nawykłego do porażek z kobietami. Ale Casey nie jest

zwyczajną kobietą. Casey jest jego dzieckiem, które siedzi przed nim naburmuszone.

Narzuciła dystans i nie zamierza się poddać.

Jednak Sam nie było do śmiechu, bo nieraz znalazła się w podobnej sytuacji. Tym przykrzejsze było to, że Brettowi bardzo zależało, by Casey go pokochała.

Sytuacja, w której Glennon nie dostaje w ciągu dwudziestu czterech godzin tego, czego pragnie, jest dla niego traumatycznym przeżyciem. Oto Brett ma przed sobą jedyną kobietę, na którą nie działa jego urok osobisty, bo Casey należy do tego samego klanu. Odziedziczyła jego upór, wolę wygrania z przeciwnikiem.

Gdyby David Glennon zobaczył, jak jego buntownicza wnuczka daje odpór rodzonemu ojcu, bez wątpienia byłby z niej dumny. Casey jest jego nieodrodną wnuczką.

Sam posprzątała po kolacji, po czym jak najprędzej wyprawiła Casey do łóżka. Dziewczynka pożegnała się z Brettem z taką samą rezerwą, z jaką potraktowała go pierwszego wieczoru.

Znając ją doskonale, Sam wiedziała, o co chodzi. Panna Długie Ucho usłyszała ich rozmowę i teraz cierpi jak każdy, kto podsłuchuje.

Nawet gdyby Brett wiedział, co się stało, nie pojałby, jak wielką sprawił jej przykrość.

- Zrobiłam gorącą czekoladę - powiedziała, wchodząc do salonu.

- Sam, co ją naszło? - Zacisnął pięści. - Doskonale się rozumieliśmy, aż tu nagle traktuje mnie jak obcego.

- Brett, to jest dziecko. - Westchnęła. - W tym wieku nastroje zmieniają się z minuty na minutę. Może za szybko skończyłeś czytać? Nie minęło dwadzieścia minut, a już miałeś ochotę posadzić ją przed telewizorem.

Wzruszył ramionami.

- Pod koniec dnia każdy jest zmęczony.

- To zwykła wymówka...

- A ty skąd wiesz, jacy są ojcowie? Któremu z twoich fantastycznych opiekunów nie dorastam do pięt?!

To prawda, ona nie ma pojęcia, jak postępują ojcowie. Może wyidealizowała sobie obraz ojca? Może oczekiwała od Bretta, że będzie wzorowym ojcem oraz mężem i dlatego ciągle ma mu coś za złe?

Kiedyś marzyła o królewiczu z bajki... i taki jej się trafił, ale na krótko. To boli, gdy marzenie, które się spełniło, nie trwa długo.

- Masz rację. Nie wiem, co robi kochający ojciec - przyznała ze smutkiem.

- Jeśli to pretekst, to ten sam, który latami sobie powtarzałem, kiedy ojciec nie miał dla mnie czasu. Zmienił się na lepsze, kiedy byłem starszy, kiedy można było ze mną porozmawiać. - Poglądził ją po policzku. - Sam, jeszcze nie umiem być ojcem, ale się staram.

Objął ją i pocałował, poruszając wspomnienie miłości, która w jej przypadku wcale nie wygasła.

- Sam, och, Sam - szeptał. - Popelnilem błąd, ale zapłaciłem za to utratą ciebie. Mam wrażenie, że płacę tę cenę każdego dnia od sześcioletnich i samotnych lat. Przyjmij mnie. Jesteś mi bardzo potrzebna.

Wymowa tych słów ledwie do niej docierała przez mgłę zmysłowych doznań. Poczwała, że musi zdusić emocje, bo stawką są nie tylko jej potrzeby. Nie może mu ulec, jeśli miałyby to skutkować odtrąceniem Casey przez ojca, który nie jest w stanie obniżyć swoich oczekiwań.

W ciągu zaledwie dwóch dni kilkakrotnie deklarował swoje zamiary wobec niej, matki Casey, ale ani razu wobec córki... a Casey musi zawsze być najważniejsza.

- Brett, to się nie stanie.

- A ja ci mówię, że się stanie. - Wzrok mu płonął. - Przysięgam, że tak będzie.

- Nie, już ci mówiłam - szepnęła przez ściśnięte gardło. - Dla mnie Casey zawsze będzie najważniejsza. Dopóki ona nie poczuje, że może ci zaufać, niczego ode mnie nie dostaniesz.

- Jeśli żądasz ode mnie stanowczej deklaracji, że stąd nie wyjadę...

- Nie dla siebie, Brett, dla Casey - rzekła bez skrpułów. - Również dla mnie. Nie wierzę, że zostaniesz. Podejrzewam, że będziesz z nami, dopóki nie odzyskasz formy. Że znowu wyjedziesz do Afryki albo gdzie indziej.

- Zmieniłaś się - mruknął. - Dawniej, kiedy tak cię rozpalałem, nic więcej się nie liczyło.

Spojrzała mu w oczy. Walcz dla dobra Casey!

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Sam, nikt nie jest w stanie przysiąc, że nie odejdzie. Możesz jutro umrzeć. Straciła cierpliwość.

- Nie zmieniaj tematu! Wracasz do Afryki? I znowu nas zostawisz? Złamiesz serce mojej królewnie... i mnie?

- Nie. Więcej tam nie pojedę - odparł udęczonym tonem. - Nie muszę. Afryka nie opuszcza mnie ani na jeden dzień.

Cierpienie malujące się na jego twarzy kazało jej milczeć. Do tej pory myślała tylko o tym, że Bretta nigdy nie było, gdy go potrzebowała. Ale on do tej pory ponosi tego konsekwencje. Dlaczego dopiero teraz zauważyła ściągnięte bólem rysy jego twarzy, rozpacz w głosie? Casey dostrzegła to już pierwszego wieczora, a ona nie zwróciła na to uwagi.

- Przepraszam. Nie wiedziałam... przez co przeszedłeś. - W odpowiedzi tylko kiwał głową. - Chcesz, żebyśmy razem wrócili do Melbourne?

- Nie wiem... Wiem tylko tyle, że was potrzebuję. Ciebie i Casey.

Przyjechałem do Sydney, bo szukałem rodziny, normalności. Ten koszmar musi się kiedyś skończyć!



Chciała go ukoić, pocałować, ale się bała. Tego Bretta nie rozumiała, ale powinna go poznać, dla jego dobra.

- Od dwóch lat ledwie udaje mi się przeżyć kolejny dzień. - Zaciskając pięści, wypuścił z ręki kulę, by oprzeć się o krzesło. - Teraz staram się nie paść przed tobą na twarz jak pijany idiota... Ale nie poddam się, żeby z podniesionym czołem wysłuchać, gdzie popełniłem błąd, który doprowadził do tego, że moje dziecko nagle zamieniło się w górę lodową, a ty w opiekuńczą lwicę gotową mnie rozszarpać.

Nagle rozumiała, jak nieuzasadnione jest jej wyobrażenie o ich sytuacji.

Nawet jeśli Brett zawiódł jej marzenia, wyjeżdżając do Afryki, to jego marzenia przeistoczyły się w niekończący się koszmar. Mimo to do tej pory nie dostrzegała jego potrzeby, by dość do siebie, ulegała swoim obawom, myśląc tylko o Casey. Stawiała siebie oraz dziecko na pierwszym miejscu, ignorując sygnały, że człowiek, któremu przysięgała dożywotnią opiekę, tej opieki potrzebuje.

Nie zdawała sobie sprawy, że stała się egoistką. Robiąc wszystko, co w jej mocy, by chronić Casey oraz siebie, nie widziała reszty świata, łącznie z ojcem Casey, który dobija się do niej w nadziei, że tu znajdzie poczucie bezpieczeństwa oraz uzdrowienie, bo tu jest jego miejsce.

Byłoby jego miejscem, gdyby go nie wykluczyła, domagając się gwarancji i zabezpieczeń. On ryzykował, a ona okazała się tchórzem.

Podniosła kulę z podłogi, żeby mu ją podać. Gdy się na niej oparł, jego stężale z bólu rysy nagle się wygładziły, a spojrzenie rozpuodziło. Sam nieśmiało pogładziła go po policzku.

- Gdzie masz proszki?

Przymknął oczy, delektując się jej dotykiem.

- W kieszeni marynarki.

- Połóż się na kanapie. - Znalazła tabletki i wyszła do kuchni po wodę.

Gdy wróciła do salonu, Brett z nadludzkim wysiłkiem powoli opuszczał się na kanapę. Odczekała, aż się usadowi, wiedząc, jak by się czuł, gdyby rzuciła się mu pomagać, i dopiero wtedy podała mu szklanekę oraz dwie tabletki zgodnie z instrukcją na opakowaniu.

- Tylko jedna - wycedził przez zęby. - Gdybym wziął dwie, już bym dzisiaj stąd nie wyszedł.

- To zostań - powiedziała cicho. Kiedy podniósł na nią wzrok, uśmiechnęła się. - W takim stanie nie powinieneś wracać autem do hotelu.

- Dzięki.

Ich słowa i gesty otaczała aura skrepowania.

- Przepraszam, że byłam niemiła. Staralam się chronić...

- Nie, nie. To ja bez ostrzeżenia wtargnąłem w twoje życie, ciągnąc za sobą to bagno, oczekując zbyt wiele. Spodziewałem się, że będziesz idealnie pasowała do moich planów, do mojego życia, jak dawniej... - Westchnął. - Ale cię nie poznaję. To straszne, straszne.

- Brett, nie miałam wyboru.

- Rozumiem. Zdaję sobie sprawę, że już nie będziemy tacy jak kiedyś...

Przynajmniej ja już taki nie będę. Ale chciałbym wiedzieć, co robić, bo ja z nas nie zrezygnuję...

Przykucnęła przy nim, by powiedzieć mu prawdę.

- Casey słyszała, co powiedziałeś w kuchni. Że zawsze będziesz przy mnie. O niej nie wspomniałeś. Uważała cię za przyjaciela, a ty odebrałeś jej złudzenie i to ją zabolowało.

- O kurczę, fatalnie. Ostrzegałaś mnie, że ona podsłuchuje... Sam, przepraszam, strasznie mi przykro. Nie chciałem sprawić jej przykrości.

- Nie mnie to mów. Jej powiedz.

Sięgnął po kulę.

- Nie, nie teraz. Zaczekaj do rana.

- To twoja córka, Sam. - Uśmiechnął się blado. - Jeżeli nie zrobię tego zaraz, rano mi nie uwierzy.

Przytaknęła. Brett podniósł się niezgrabnie i utykając, ruszył w stronę pokoju córki.

- Casey, śpisz?

Gdy odpowiedział mu przytłumiony głos, Sam się domyśliła, że Casey płakała.

- Nie.

- Mogę wejść? - Otworzył drzwi. - Casey, chciałem cię przeprosić. Przed kolacją niechcący sprawiłem ci przykrość. Rozmawiałem z mamą i powiedziałem, co do niej czuję. Wcale nie chciałem, żebyś pomyślała, że te uczucia ciebie nie dotyczą - rzekł drżącym głosem. - Jesteś moją córką, a ja jestem gotowy walczyć z całym światem, żebyś była szczęśliwa i czuła się bezpiecznie. Jesteś częścią mojego życia. Na zawsze.

Sam czuła, że Brett czekał na trudne chwile.

- Jesteś miły dla mamy i z nią rozmawiasz - wyrzucała mu Casey, niemal całkowicie schowana pod kołdrą.

- A dla ciebie nie jestem miły? - zapytał.

Pomimo bólu był otwarty i uważnie wsłuchiwał się w jej słowa.

- Nie! Nie powiedziałeś mi, dlaczego mam inne nazwisko niż ty i nie powiedziałeś, dlaczego jesteś smutny i dlaczego masz chorą nogę... i dlaczego masz kulę.

- Przepraszam. Potraktowałem cię jak małe dziecko, o to chodzi? - Milczenie.

- Przebaczysz mi? Krótko jestem tatą, wcześniej cię nie znałem. Obawiam się, że popełnię jeszcze sporo błędów. Ale trzeba mi o tym powiedzieć, bo nie będę wiedział, że źle robię.

W końcu Casey wychyliła się spod kołdry.

- Mike mówił, że pewnie gdzieś masz inne dzieci...

- Nie mam - odparł z powagą. - Mam tylko ciebie. Ciągle jestem mężem twojej mamy, więc jak mógłbym mieć inne dzieci?

- Czy to znaczy, że ja też nazywam się Glennon?

Sam zdrewniała. Prawda wyszła na jaw i ani Brett, ani ona już tego nie zmieniają.

- Tak, Casey. Nie gniewaj się na mamę, bo widzisz... powiedziano jej, że umarłem. Była taka smutna, że zmieniła nazwisko, bo chciała o tym zapomnieć.

- Uhm.

Sam odetchnęła z ulgą. Brett powiedział to, co należało. Miała ochotę go za to wyciąłować.

- Chciałabym braciszka albo siostrzyczkę, żeby się ze mną bawili. Jak już wróciłeś, to czy mogę ich dostać?

Kolejne wyzwanie: jeśli Casey nie uzyska odpowiedzi, znowu się zamknie.

- Casey, daj mi trochę czasu! - Brett się roześmiał. - Z taką nogą padam ze zmęczenia po zabawie z tobą. Z niemowlakiem nie dałbym sobie rady.

- Co ci jest w nogę?

Uff, szczęśliwie przebrnął przez pole minowe.

- Mogę usiąść? - zapytał. - Nie tak dawno miałem operację kolana, więc jak za dnia dużo się ruszam, to wieczorem bardzo mnie boli.

Casey przesunęła się na drugi brzeg łóżka.

- Jak chcesz, możesz się tu położyć.

Otrzymawszy od córki znak pokoju, z westchnieniem ulgi położył się obok.

- Dzięki. Opowiadając, mogę zasnąć, ale nie zrobię tego specjalnie... Wziąłem lekarstwo na ból. Zgoda?

Casey przytaknęła z powagą, a on westchnął.

- Wiesz, co to Afryka? Oj, jaki ja jestem głupi, na pewno wiesz. Pojechałem do Afryki, żeby pomagać ludziom. Tak się złożyło, że banda złych wojowników potrzebowała doktora.

Casey ufnie przytuliła się do ojca. Sam otarła łzy wzruszenia, po czym wyszła do kuchni. Nie wiedziała, czy płacze za tym, na co nie ma wpływu, czy z powodu człowieka, który odmienia jej życie.

Dwadzieścia minut później Casey na paluszkach weszła do jej pokoju.

- Mamo, on płacze przez sen - szepnęła. - Opowiada o jakichś ludziach, którzy go bili i kopali. Mamo, pociesz go. - Chwyła Sam za rękę i pociągnęła do swojego pokoju.

Sam z trudem hamowała łzy, mając przed sobą mężczyznę, który w różowej pościeli wyglądał jak silny i groźny olbrzym. Rzucił się przez sen, mamrocząc niezrozumiale.

Współczuła mu, że tyle przeszedł, będąc sam, i nadal jest sam. Drżącą ręką pogładziła go po głowie.

- Ciii. Już dobrze, już dobrze. Jesteś wśród swoich.

- Sam... Sam...

- Jestem przy tobie. - Głaskała go, dopóki nie zasnął spokojnym snem. Nim wyszła, bezwiednie pocałowała go w policzek. - Dobranoc. - Cicho zamknęła za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy obudziła się po dziewiątej, Brett jeszcze spał.

Przez cały poranek obydwie chodziły na paluszkach, żeby dać mu się wyspać. W środku nocy musiała wstać, bo znowu nękały go koszmary. Rzucił się na łóżku, bełkocząc coś niezrozumiale. Ale jedno usłyszała wyraźnie.

- Sam, Sam, gdzie jesteś?

Siedziała przy nim, szepcząc słowa otuchy, trzymając go za rękę, starając się unieruchomić kontuzjowaną nogę, aż w końcu zły sen go opuścił.

Zjawił się, szeroko ziewając, po dziesiątej.

- Przepraszam. Dwie tabletki pozwalają mi się wyspać.

Z uśmiechem podsunęła mu kubek z kawą.

- Dobrze ci to zrobiło.

Sprawiał wrażenie skrepowanego.

- Mówiłem coś przez sen?

- Tak.

Patrzył przez okno na Casey, która bawiła się na dworze.

- Kiedy Casey dostanie psa przewodnika?

- Jak skończy osiem lat. Boi się psów, więc ustaliliśmy, że jeszcze za wcześnie.

- Bardzo rozsądnie - potaknął zdawkowym tonem, najwyraźniej pochłonięty myślami na inny temat. - Sam, muszę ci coś powiedzieć...

- Ja także uważam, że czas, abyśmy porozmawiali poważnie.

- Czy możesz załatwić opiekunkę do Casey na dzisiejszy wieczór? Żebyśmy mogli wymienić myśli bez tego słodkiego podsłuchu?

Zaproszenie. Od sześciu lat z nikim się nie spotykała. Od sześciu lat nie miała okazji poczuć się jak kobieta.

- Ośrodek dysponuje kilkoma opiekunkami.

- Zamów kogoś. - Dotknął jej ramienia. - Ja płacę. - Ujął ją pod brodę. - Sam, od dzisiaj to ja płacę wszystkie rachunki związane z Casey. Żeby już nigdy nic jej nie brakowało... i żebyś nie musiała rezygnować z własnych potrzeb.

Nie poczuła się urażona. Wręcz się ucieszyła, że zostanie zwolniona z dźwigania tego obciążenia.

- Dziękuję. Dowiem się, czy da się to załatwić.

- A ja zajmę się piknikiem. - Wyszedł z domu, porozmawiał chwilę z Casey, po czym wsiadł do samochodu.

Wrócił godzinę później przebrany w bermudy i T-shirt, z okazałym koszem piknikowym.

- Uwaga, dziewczyno, zawartość tego kosza skusiłaby nawet misia Yogi. Sam nie mogła od niego oderwać oczu.

Znowu zaczęła marzyć o tym, co nieosiągalne. To jest ich, Bretta i Casey, wspólny czas. Ja tu się nie liczę.

Ale jej serce oraz ciało odmawiały słuchania głosu rozsądku. Nie pozostało jej nic innego jak odwrócić wzrok i modlić się, by nie zabrakło jej sił.

Skoro jest z nią aż tak źle, wieczorne spotkanie może okazać się nie lada pokusą. Przeznaczenie czy po prostu hormony? Żaden mężczyzna nie dałby jej tyle radości i nie sprawdził się w roli ojca Casey tak jak Brett. Przy nim zapomniała, jak się nazywa i jaki jest dzień tygodnia.

Czeka ją kolejny dzień walki z Brettem oraz rozszalałymi hormonami. Z własnym sercem.

- Casey! - zawołał z drugiego końca ogródka. - Jesteś gotowa na najbrzydliwszy piknik w całym twoim życiu?

- A co będzie?

- Ja już wiem, ale ty musisz przyjść i sama sprawdzić.

Casey, zaintrygowana, ruszyła w jego stronę.

- Bierz się do roboty - rzekł, otwierając kosz.

Dotykając i wachając opakowania, Casey promieniała.

- Och, ciasto czekoladowe, kurczak pieczony. I frytki!

Sam jęknęła cicho. Brett i czekolada... zabójcza mieszanka. Nagle Casey się zaniepokoiła.

- A gdzie sałata?

- Sałata?! - zawołał oburzony. - Żaden Glennon nie tyka sałaty, nie jesteśmy królikami! Sałata jest wstrętna.

Sam wróciła do domu. Nie powinna być na niego zła, bo stawanie okoniem jest głupie i na dłuższą metę męczące.

Kiedy dołączyła do nich, basen był już wypełniony pływającymi zabawkami dającymi niewidomemu dziecku poczucie bezpieczeństwa. Brett zdjął koszulkę i utykając, zbliżał się do basenu.

- Casey, już idę do ciebie!

On wie, że Casey potrzebuje punktów oparcia oraz że nie wolno jej zaskakiwać. Przez minione dwa lata musiało mu być bardzo ciężko: przeszedł kilka operacji, rehabilitację, czekał na informacje o żonie i dziecku, a mimo to znalazł czas oraz siły, by poznać potrzeby córki i sposoby ich realizacji.

Wzruszona patrzyła na ich igraszki.

Potem ponownie otworzył kosz, zapraszając Casey na ucztę. Gdy dziewczynka z zapalem rzuciła się na jedzenie, Sam dotknęła jego ramienia.

- Dziękuję. Wspaniały pomysł - szepnęła.

Brett pokiwał głową, po czym znowu zapatrzył się na Casey, ale Sam nie czuła się ignorowana. Jego nieskrywany zachwyty Casey napawał ją radością.

Jako sierota Sam zawsze chciała mieć mamę albo tatę. Wystarczyłby jej jeden rodzic, ale Casey wychowana w poczuciu bezpieczeństwa przez jedno z rodziców, naturalnym odruchem pragnęła poznać drugie.



Po jedzeniu mała znowu chciała pływać. Sam już miała zaprotestować, gdy Brett ją powstrzymał.

- Ale przedtem, Casey, trzeba załatwić trzy sprawy - odezwał się, dotykając jej nosa. - Po pierwsze, krem.

- Mama też mi o tym przypomina - burknęła Casey.

- Mama ma rację. I nie zdejmuj czapki.

Casey westchnęła, a on szeroko się uśmiechnął.

- Po drugie, po jedzeniu trzeba odczekać dwadzieścia minut...

- Oj, Brett...

- Dla ciebie to nic, bo świetnie pływasz. - Westchnął - Ale nie zapominaj, że ja mam chorą nogę. Muszę uważać.

- Aha. - Zdaje się, że dotarło do niej, że inni też miewają ograniczenia. - Dobrze.

- A teraz najgorsze. Pomożemy mamie posprzątać.

- Oj, nie, Brett... Mama sama posprząta.

- Casey... - Ten surowy ton chyba ją przestraszył. - Masz już pięć lat i pora, żebyś się nauczyła różne rzeczy robić sama.

- Ja umiem! Michelle kazała mamie przypominać mi o odnoszeniu talerza do zlewu. I sama ścielę łóżko. I w ogóle!

- Michelle pracuje w ośrodku - wyjaśniła Sam. Dziwnie się czuła, bo po raz pierwszy od lat ktoś inny niż ona uczy jej dziecko dyscypliny. - Uczy dzieci samodzielności.

- Doskonale - powiedział Brett. - Ale Casey powinna zrozumieć, że mamie należy pomagać. I zaraz to zrobimy.

- Ależ Brett, ona nie może...

Spiorunował ją wzrokiem.

- Skąd wiesz? Skąd Casey ma to wiedzieć?

- A ty skąd wiesz? - odcięła się.

- Przez pół roku, dwa razy w tygodniu po cztery godziny, miałem konsultacje z instruktorem z ośrodka dla niewidomych w Melbourne. - Sam słuchała go zdumiona. - Żeby jak najlepiej poznać potrzeby Casey.

Sam olśniło.

- I to tam nauczyłeś się Braille'a? I odliczania kroków oraz metod nauki pływania?

Przytaknął.

- Oraz tego, że Casey powinna pomagać i myśleć o innych. - Pociągnął dziewczynkę za rękę. - Wstajemy, panno Glennon.

- Nazywam się Glennon? - zdziwiła się Casey. - Teraz tak się nazywam?

- Zawsze tak się nazywałaś. Jesteś moją pierworodną córką. Zatem, panno Glennon, bierz te kubki i zanieś je do kuchni. Jak skończymy pomagać mamie, pobawimy się, w co zechcesz. - Spoglądał na jej naburmuszoną buzię. - Do roboty, Casey, pokaż, że potrafisz.

Dziewczynka mocno zacisnęła palce na kubkach, które jej wręczył, sprawdziła stopą podłogę i ruszyła ścieżką prosto w stronę schodków prowadzących do domu.

Sam zagroziła mu drogę.

- Przeginasz - syknęła. - Uważasz, że kilka miesięcy teorii w ośrodku daje ci prawo kwestionować moje metody wychowawcze?

- Chciałaś powiedzieć, twoją nadopiekuńczość.

Zakreśliło się jej w głowie.

- Zastanowiłeś się, co ona będzie czuła, jak je upuści i nie będzie mogła ich znaleźć?

- Pozna smak porażki. To, że nie widzi, nie wyrzuca jej na margines. Sam, ona jak wszyscy musi nauczyć się radzenia sobie z niepowodzeniami.

Zła, a jednocześnie obezwładniona jego argumentem, podjęła drugi wątek.

- Nie miałeś prawa zmieniać jej nazwiska bez porozumienia ze mną. Robisz jej zamęt w głowie. Wyobrazi sobie, że z nami zostaniesz i będziesz przy niej zawsze...

Jakby dla zaakcentowania jej słów, dobiegł ich z kuchni znamienity łoskot.

Brett chwycił ją za ramię.

- Ja się tym zajmę. - Ruszył w stronę domu. - To nie ja zmieniłem jej nazwisko, ale ty. I w dalszym ciągu nie wiem dlaczego. - Wszedł do domu. - Ej, Casey, zbiłaś coś?

Jednym susem Sam go wyprzedziła.

- Nie zadawaj takich pytań! Ona może to sprawdzić tylko rękami! Casey, słonko, niczego nie dotykaj!

Dziewczynka stała pośrodku kuchni z rękami podniesionymi, jakby chciała pokazać, że nie ma nic wspólnego z tą katastrofą.

- Brett, wszystko upuściłam! - szlochała.

Sam rzuciła się do przodu, ale Brett błyskawicznie zastąpił jej drogę.

- Zostaw to mnie - szepnął. - Jak to wszystko?! Jakim cudem...? - Zamiast dokończyć zdanie, cisnął na podłogę swoje piknikowe talerze. - Ups! - W jego głosie zadźwięczał strach i poczucie winy.

- Brett, wszystko wypuściłeś z rąk? - Casey zapomniała o swojej tragedii.

- Wszystko - wyznał ponuro.

Dziewczynka zachichotała, zapominając o strachu. Brett pochylił się nad nią.

- Wiesz co? - szepnął jej do ucha. - Chyba powinniśmy to sprzątnąć, zanim mama zobaczy.

Casey parsknęła śmiechem.

- Ona już tu jest!

Znieruchomiał, a Sam przypomniała sobie słowa, które powiedział poprzedniego dnia. Może ona coś widzi?

- Skąd wiesz?

- Bo wiem, jak ona pachnie. I słyszę, jak oddycha.

Sam ze ściągniętym brwiami spoglądała na córkę. Zaśmiewając się z Brettem z powodu upuszczonych naczyń, wyglądała jak zdrowe dziecko. Szkoda...

- Casey, podnieś kubki - powiedział Brett. - One są plastikowe. Godzina siódma, dziewiąta, trzecia i pierwsza. Ja swoje też pozbieram.

Gdy Casey bezbłędnie znajdowała kubki, obserwował ją w skupieniu.

- Teraz wstaw je do zlewu.

- Słonko, świetnie się spisałaś - pochwaliła ją Sam. - Uważaj na talerze Bretta. Podłoga jest sucha, nie poślizniesz się.

Ostrożnie posuwając stopy, dziewczynka skierowała się w stronę światła wpadającego przez okno tuż obok zlewu. Dwa kubki wpadły do zlewu, dwa potoczyły się po blacie.

- No, pomogliśmy, więc możemy iść popływać - oznajmił Brett. - W co się pobawimy?

Casey się rozpromieniła.

- W foki!

- Idziemy. - Wziął ją za rękę.

Wychodząc z kuchni, rzucił Sam zniewalający uśmiech.

Zmywając naczynia, doszła do wniosku, że Brett ma rację, bo to ona zmieniła nazwisko Casey i powinna mu wyjaśnić powód. Jak to zrobić, nie mieszając do tego jego ojca, który tyle przeszedł? Poza tym Brett na pewno uważa, że ona ma go za drania...

Jako ojciec niewątpliwie odrobił lekcję, uczy Casey wszystkiego tego, co ona uznała za przedwczesne, chociaż w rzeczywistości bała się niezależności córki. Tydzień temu zarzuciła jej to Michelle.

Tego dnia otrzymała kolejny dowód, że nie jest dobrą matką. To się spodoba wszystkim Glennonom, jak się o tym dowiedzą. Zanim cokolwiek powie, sąd odbierze jej prawa rodzicielskie.

Włożyła wszystkie resztki do kosza piknikowego i wyszła z nim na dwór.  
Foki w basenie baraszkowały w najlepsze.

Gdy w pewnej chwili Brett wynurzył się i posłał Sam szeroki uśmiech, nagle wróciły do niej dawne wspomnienia.

W trakcie podróży poślubnej Brett uczył ją pływać i nurkować na rafie.  
Podziwiali wtedy bajecznie kolorową faunę i zaglądali do wraków zatopionych statków, a w rozgwieżdżone noce kochali się na plaży.

Nie, koniec. Rozdygotana zawróciła do domu.

Dziesięć minut później Brett znalazł się przy niej.

- Sam, co się stało? Co zrobiłem?

Sprawił jej ból jednym uśmiechem.

- Gdzie Casey?

- W piaskownicy. Bramka na basen zaryglowana. - Westchnął. - Sam, nie zamykaj się przede mną. Skąd mam wiedzieć, czym zawiniłem, jeśli mi nie powiesz?

Zamknęła oczy.

- Kiedy miałam osiem czy dziewięć lat, jeden z moich ojców zastępczych, ten, który potrafił bawić się ze mną jak ty z Casey, powiedział... A potem odstawiono mnie do sierocińca. - Zawahała się. - To nie przez ciebie. Nie zrobiłeś nic złego. Jesteś tu dla Casey, nie dla mnie.

Objął ją czule.

- Biedna Sam, ale to przeszłość. Już go nie ma... A ja nigdy nie skrzywdzę Casey.

Naszła ją niebezpieczna myśl: ten dom nareszcie stał się prawdziwym domem, bo Brett ją przytula.

- Jesteś tu, bo jesteś ojcem Casey.

- Możesz to sobie powtarzać, jeśli ci to pomaga. Ale doprowadzę do tego, że znowu będziesz moja. Jesteś moją żoną, więc sprawię, że w końcu będziesz tego chciała tak bardzo jak ja.

- Jestem przede wszystkim matką Casey - upierała się. - Bardzo się dzisiaj starałeś, ale już powinieneś jechać. - Milczał. - Twój kosz stoi nad basenem.

Proszę...

- Wiem, popełniłem błąd, ale do Casey to nie dotarło. Staram się to naprawić. Ona ma prawo mnie poznać. Mnie i moje błędy.

Zmęczona potarła czoło.

- Potrzebuję więcej czasu. Twoja obecność mnie przytłacza... Tyle lat byłam zdana sama na siebie. W takim układzie każdy błąd, każde wspomnienie urasta do ogromnych rozmiarów.

- Ten błąd dotknął ciebie, nie Casey - burknął. - Sam, przestań chować się za nią... Ty chcesz chronić siebie. Problemem jesteś ty i to, że rodzice cię porzucili. Tu wcale nie chodzi o Casey.

Aż zamrugła, porażona celnością jego diagnozy.

- Nie chcę... żeby Casey spotkała krzywdę.

- Nie Casey, ciebie - rzekł już łaskawszym tonem. - Casey to nie ty. Rodzice cię porzucili, jak tylko się urodziłaś, a Casey ma oboje rodziców. - Milczała, więc kontynuował: - Ile błędów popełniłaś, zanim nawiązałaś kontakt z rodzicami z ośrodka? Ile razy niechcący sprawiłaś jej przykrość, ucząc się na swoich błędach?

- Mnóstwo. - Wargi jej drżały.

- Sobie potrafisz wybaczyć, ale ja stracę was obydwie, jeśli nie będę doskonały, tak? Jak długo mam ponosić konsekwencje grzechów twojego ojca?

To brutalnie rzucone pytanie postawiło ją przed lustrem emocjonalnym. I nie spodobało się jej to, co w nim zobaczyła.

Wyparcie niczego nie rozwiązuje. Tchórzostwo emocjonalne nie zrani jej nieobecnych rodziców, a Brettę tak. Jej lęk przed odrzuceniem izoluje Casey od

ludzi, którzy mogliby ją kochać i akceptować. Ona, Sam, karze Bretta, Casey i cały świat za niedoskonałość osób trzecich. Brett staje na głowie, by zadzierzgnąć więź z córką. Pragnie też odzyskać żonę, ale nie używa do tego celu Casey.

- Przepraszam - wyszeptała, opierając się o blat.

Przyjął to z wyraźną ulgą.

- Czy nasza dzisiejsza randka jest aktualna?

Rozpaczliwie szukając pretekstu: że potrzebuje czasu do namysłu, że boli ją głowa, cokolwiek... przytaknęła.

- Jedź już. Chcę zostać sama. To takie... trudne.

- Trudniejsze dla ciebie niż dla Casey albo dla mnie... Dlaczego? - Zmierzył ją wzrokiem. - Sam, muszę się dowiedzieć, jakie były te lata.

- A ja chcę wiedzieć, co się działo w Afryce. - Nabrała odwagi. - Nie oszczędzaj mnie, Brett. Bo przez to nabieram różnych podejrzeń.

Przytaknął, po czym podniósł jej dłoń do warg.

- Uda się, Sam, jeśli oboje bardzo tego zechcemy.

Ale dziecku, które przeszło twardą szkołę życia, trudno było w to wierzyć: szczęście jest zbyt ulotne. Pięć miesięcy z Brettem było dla niej jak cudowny sen, bo gdy się z niego obudziła, idealny świat zniknął, zmuszając ją do powrotu do brutalnej rzeczywistości.

Właśnie to spotkało ją w domu rodziców Bretta: odtrącenie. Jak ma uwierzyć, że w jej życiu wszystko może jeszcze się zmienić?

- Postaram się.

- Dziękuję, aniele. Nie proszę o więcej. - Pocałował ją, o nic więcej nie prosząc, niczego się nie domagając, po czym wyszedł.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bardzo długo się zastanawiał, dokąd ją zaprosić, ale widząc w mroku jej roześmianą twarz, poczuł, że dokonał słusznego wyboru.

- Jak ci to przyszło do głowy? - zapytała, gdy wyszli z kina.

- Kiedy się poznaliśmy, lubiłaś oglądać filmy. - Szedł obok niej, nie odważając się jej dotknąć.

- Kino to jedyne miejsce, dokąd nie mogę zabrać Casey. Rodzice innych dzieci proponowali, że się nią zaopiekują, żebym mogła gdzieś wyjść, ale...

Nawet prawo do obejrzenia filmu stało się grzesznym przywilejem samotnej matki niewidomego dziecka.

Zabierając ją na idiotyczną komedię, miał nadzieję, że nie będzie się zadreślała poczuciem winy.

Szła ramię w ramię z nim i rozbawiona przypominała najzabawniejsze sceny z filmu, a on po raz pierwszy, odkąd przyjechał do Sydney, oglądał ją zrelaksowaną i wesołą.

- Och... - westchnęła, gdy zasiadali na pluszowej kanapce w modnej kawiarni utrzymanej w starym stylu. - Widziałam ten szyld z autobusu i nawet myślałam, żeby...

- Zobaczyłem to miejsce dzisiaj i pomyślałem, że ci się spodoba. Zamów coś dla nas.

Najpierw obejrzała fotosy sławnych ludzi, którzy odwiedzili ten lokal, a dopiero potem zagłębiła się w lekturze karty.

- Och, ciasto rumowe i czekolada z likierem...

- Dalej przepadasz za gorzką czekoladą? - zapytał.

Odłożyła kartę.

- Tak, ale Casey nie lubi.



No tak. Casey nie lubi, więc zrezygnowała z tej przyjemności. Miał ochotę ją pocałować, zapewnić, że teraz już niczego jej nie zabraknie... zwłaszcza miłości.

- Jakie były te lata? - zapytał, gdy czekali na zamówione dania.

Mówiła prosto, podając suche fakty. Wyjazd w ciąży do Sydney. Wizyty u niezliczonych specjalistów po narodzinach Casey. Eksmisja z mieszkania, kiedy Casey zaczynała chodzić. Pomoc Colina, brata jej koleżanki Sereny, który udostępnił jej obecny dom za minimalny czynsz, ponieważ jego niewidoma siostrzenica Kate przyjaźniła się z Casey. Szukanie przyjaciół wśród rodziców dzieci spotykających się w ośrodku, ludzi, którzy ją rozumieli i dali jej poczucie bezpieczeństwa. Oszczędzanie każdego grosza, by zapewnić Casey zalecane zajęcia. Nauka szydełkowania, gotowania, śpiewu i tańca, żeby zbierać środki.

- Raz nawet byłam klaunem - wyznała ze śmiechem - ale dzieci widzące bały się mnie, co przstraszyło dzieci niewidome. Nie umiem się wygłupiać.

Nie umie, ale potrafi być dzielna, pogodna oraz pomysłowa i ani razu nie zwróciła się do jego rodziny z prośbą o pomoc. Wszystko zawdzięcza sobie.

Czy ona zdaje sobie sprawę, jaka jest silna? Miał do czynienia z karabinami, nożami, oszalałymi fanatykami, ale ma się to nijak do całodobowej opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem. Obsypałby ją kwiatami, kupił najbardziej eleganckie ciuchy, natychmiast, żeby wynagrodzić jej poświęcenie dla jego dziecka.

Ale każdego dnia kilkanaście razy słyszał słowo „bezpieczeństwo”. To konsekwencja tego, że ją zostawił. Pozostawiona samej sobie, tęskniła za bezpieczeństwem, emocjonalnym zwłaszcza.

Nie będzie siłą przełamywał jej oporów.

- Casey jest pewna siebie, taka bystra i kochająca dzięki tobie. Jesteś wspaniałą matką i fantastyczną kobietą.

Spodziewał się rumieńca i uśmiechu, ale ona zbladła i spochmurniała.

- Miło mi, że tak uważasz. - Nie powiedziała więcej, ale za tymi słowami kryła się jakaś tajemnica.

Czy ona ciągle ma mnie za złego ojca? Nie jestem mężczyzną dla niej?

Miłość to za mało. Seks to za mało. Przeczytał mnóstwo książek, zaliczył kilka kursów, ale to nie wystarcza, by mógł wyczuwać Casey i jej potrzeby... oraz wymagania Sam.

Teraz już wiedział, że Sam go pragnie, a obawy, że nie uda mu się nawiązać kontaktu z dzieckiem albo że mała nie będzie mogła stać się członkiem jego rozszerzonej rodziny, okazały się płonne. Casey to prawdziwy Glennon z krwi i kości; zadowoli jego rodziców i podbije ich serca.

Problem jest bardziej złożony. On po prostu nie zna Sam. Mimo że opowiedziała mu swoją historię, w dalszym ciągu narzucała dystans. Podziwiał jej wytrwałość, obejmował ją i całował w rzadkich chwilach słabości, ale dopóki Sam nie podzieli się z nim swoim najgłębiej skrywanym lękiem, będzie się czuł odstawiony na boczny tor.

- Słowo daję, Sam, jako samotny rodzic nigdy bym ci nie dorównał. Bez ciebie nie sprawdziłaby się żadna z moich teorii na temat dobrego ojca.

Gdy zlizła z wargi odrobinę bitej śmietany, wstrzymał oddech. Tyle lat nie był ze swoją kobietą...

- Gdyby nie ty, nie przyszedłoby mi do głowy, że można chcieć pomagać obcym ludziom w Afryce - powiedziała cicho. - Ja od ciebie też się czegoś uczę. - Nie odrywając od niego wzroku, podała mu do ust kawałek ciasta na widelczyku.

Gdy dotknął palcem jej warg, wzrok jej pociemniał, a on wdychał jej zapach zmieszany z zapachem czekolady. Dawne pożądanie wróciło. Sam, Sam jest wszystkim. Musi ją zdobyć. Musi jej powiedzieć...

- Sam, zaufaj mi - szepnął. - Będzie nam tak dobrze...

- Nie wiem, czy potrafię. Muszę poznać cię od nowa. Prawie nic nie wiem o tym, co przeszedłeś. Więcej powiedziałeś Casey niż mnie.

- Byłem otumaniony, kiedy jej to mówiłem. Wolałbym mieć to wszystko za sobą.

Przygryzła kciuk, nieomylny znak, że nie powie nic miłego.

- Ale chyba ci to nie wychodzi. Zatrzymałeś się na drugim etapie cierpienia.

Poznałam wszystkie etapy dzięki terapii, która pomogła mi zaakceptować ułomność Casey. Próbujesz zapomnieć, ale nie pogodziłeś się z tym, co się stało. Chyba wiesz, że człowiek nigdy nie będzie taki jak dawniej, ani nie pójdzie do przodu, jeśli zabraknie akceptacji?

Ta prawda tak go poraziła, że niemal się skurczył z bólu. Sam bezlitośnie zdarła z niego maskę wykształcenia i wiary w siebie tak, że teraz siedziała przed nią zmaltretowana, przestraszona istota ludzka.

- Brett, dobrze wiesz, że mam rację. - Pogładziła go po dłoni. - Niby jesteś tu, ale brakuje ci czegoś ważnego. Mówisz o tym, co ważne dla Casey i dla mnie, przejmujesz się naszym cierpieniem, ale swoje trzymasz zamknięte.

Patrzył na nią oszołomiony. To o to chodzi, to stąd te jej bariery? Nie dopuszczam jej. To nie ona odmawia mi dostępu do siebie. Jest dokładnie na odwrót.

Ale nie po to tu wracał! Szukał tamtej pięknej, wielbiącej go namiętnej dziewczyny, która sprawiała, że czuł się panem całego świata, ale ta silna, dumna, wspaniała kobieta swoją dojrzałością i mądrością sprawiła, że poczuł się mały i słaby. Powiedział jej tyle, ile było trzeba, by zrozumiała, że jest mu potrzebna. Czego jeszcze od niego żąda?

Ona przed chwilą wszystkim się z nim podzieliła. Gdy zapytał, jak wyglądało jej życie z Casey, nie odmówiła odpowiedzi.

Teraz ona prosi o to samo. Jeśli jej nie opowie, straci ją. Dopił czekoladę.

- Zawsze byłem marzycielem - zaczął. - Afryka to potwierdziła. Jechałem tam w przekonaniu, że mogę zmienić świat, ale w ciągu kilku dni pozbyłem się kompleksu boskości. Połowa ludzi, którzy się do mnie zgłaszali, umarła, a ci, których uratowałem, wcale mi nie dziękowali. Chcieli jedzenia, rodziny albo czym

prędzej wrócić do walki. Informowanie ludzi, że stracili rękę albo nogę, albo że ich żona czy mąż nie żyją...

- Mów dalej - szepnęła, przykrywając jego dłoń.

Ale on tego nie zauważył: zapadał się w otchłań i tylko o tym myślał.

- Na moją głowę sypały się obelgi, kiedy nie mogłem zrobić nic więcej.

Złudzenia umierają bardzo szybko. Jak mnie postrzelili, myślałem już tylko o tym, żeby jak najszybciej stamtąd się wydostać. Pracując dla rebeliantów, zapomina się...

- kurczę, ja się trzęsę, stwierdził przerażony - o swoim człowieczeństwie. Byłem zmuszany do pracy, przez cały czas mierzono do mnie z karabinów, dawano mi jeść dopiero, gdy z głodu chwiałem się na nogach. Widziałem obozy dla małych chłopców, gdzie szkolono ich tak, żeby przed dziesiątym rokiem życia zabili pierwszego człowieka. Dziewczynki...

Sam usiadła przy nim i ujęła jego twarz w dłonie.

- Powinna była być tam razem z tobą.

Sześć lat czekał na te słowa, ale nie odczuł radości.

- Masz rację, to nie miejsce dla Casey - przyznał. - Nie powinienem był tam jechać. Należało zostać z tobą, z rodziną. Nie doszłoby do tego... - Uderzył pięścią w chorą nogę, potrząsając głową. - Sam, marzyłem, że mnie uzdrowisz.

Milczała długo, gładząc go po policzku.

- Brett, chciałabym, ale nie mogę. Sam musisz to zrobić. Zaakceptuj to, co się stało oraz to, czego nie zmienisz. Bez tego proces zdrowienia się nie zacznie. - Musnęła jego usta wargami, ale on odwrócił głowę, odrzucając jej argumenty.

- Nie mogę... nie mogę. - Głos mu się łamał.

Dotknął jej z miłością i czułością. „Tak bardzo cię pożądam...”.

Ale ona się odsunęła od niego. „Seks to za mało”.

Rozpaczliwie jej pragnąc po tak długiej przerwie, zawołał: „Kocham cię!”.

Jej obraz zaczął blaknąć. Słyszał tylko jej smutny szept: „Miłość to za mało, przykro mi, Brett. Musisz zaakceptować... wyzdrowieć...”

Obudził się przed świtem zlany potem, z walącym sercem. Dziękował Bogu, że tym razem nie zginęła z rąk snajpera, ale zakończenie tego snu nie sprawiło mu ulgi.

Tego wieczoru pojął, że kocha nową Sam bardziej niż tę, którą poślubił. Silną, niezależną, pełną ognia i radości życia. Jej dawne lęki nie zniknęły, i chyba nigdy nie znikną, ale ona stawia im czoło, zamiast uciekać. Jeśli kiedykolwiek przyzna, że go kocha i chce być z nim, zrobi to na swoich warunkach. Nie zrezygnuje z nich ani nie wyjdzie mu naprzeciw. Dawna Sam przyjmowała wszystko, co mógł jej dać, ale nowa chce mieć wszystko albo nic.

Miłość to za mało, myślał przerażony, seks to za mało. Co taki wrak człowieka może jej zaproponować?

Zaakceptuj to, czego nie zmienisz, a zaczniesz wracać do formy. Jak to się robi?! Nie mógł pogodzić się z myślą, że jego życie takie, o jakim kiedyś marzył, to przeszłość, ani z tym, że ślepotą Casey jest nieodwracalna.

Obserwował ją podczas zajęć integracyjnych. Nikt nie zwracał tam uwagi na to, że Casey nie widzi, za to podziwiano jej urodę, inteligencję, samodzielność, chęć rywalizacji. Ma urodę matki, ale jego hart ducha oraz wolę zwyciężania. Casey nie da się życiu poniewierać.

Przestało go dziwić, że jest z niej dumny. Jaka matka, taka córka. Zakochał się w obydwu w okamgnieniu. A Casey już go owinęła wokół najmniejszego paluszka.

Ale Sam nie chce w to uwierzyć.

- Pora, żeby uwierzyła - mruknął, kuśtykając do łazienki. Nadchodzi piąty dzień batalii o Sam.

Zaakceptuj to, czego nie możesz zmienić... O nie, nie zaakceptuje tego, że między nimi wszystko skończone. To można zmienić i on tego dokona, choćby miał szczeznąć.

Jeszcze nie znalazł klucza do jej serca, ale doprowadzi do tego, że całą rodziną zamieszkają w Melbourne.

Casey musi mieć kontakt z większą liczbą bliskich jej osób, a jego rodzice marzą o tym, by obdarzyć ją swoją miłością, by ją rozpieszczać. Casey się to spodoba. Sam będzie szczęśliwa. A on będzie wracał do zdrowia na łonie rodziny.

Nie wyobrażał sobie innego zakończenia tej sześciolletniej „love story”.

Pogwizdując, jechał do Sam krętymi uliczkami. Ładna dzielnica. Dużo zieleni, zadbane domki, zamożne otoczenie.

Mógłby tu mieszkać, ale kocha Melbourne.

Melbourne ma pewne wady: jest tam inny klimat. Powiada się, że w Melbourne cztery pory roku mogą wystąpić tego samego dnia. Ale jego pociąga kosmopolityczny charakter tego miasta, którego Sydney zdecydowanie brakuje.

Poza tym mieszkają tam jego rodzice oraz znajomi, którzy załatwili mu rezydenturę w szpitalu.

Od dziecka drażniło go życie towarzyskie elity, tak ważne dla jego rodziców. Po powrocie z Afryki zerwał kontakty ze wszystkimi dawnymi „przyjaciółmi” oprócz dwóch kumpli ze szkoły: Dennem i Serge'em.

Denn wraz z żoną Ginny mieszkali nad rzeką Yarra. Mógłby tam osiąść z Sam i Casey. Sam bardzo lubiła całą czwórkę. Kupiliby nad wodą jakiś stary dom do remontu.

Nagle przypomniał sobie, o czym kiedyś marzyła Sam: o domu nad rzeką. Na pewno szalałaby z radości...

Skręcił w jej uliczkę ze śpiewem na ustach. To marzenie nie ziści się jutro, ale on mu pomoże.

Ruszył do akcji, jak tylko zobaczył ją w ogrodzie. Miała na sobie obszerną koszulę, rękawice robocze i kapelusz.

- Witaj, maleńka. - Pocałował ją na powitanie, po czym wszedł do domu. - Cześć, skrzacie! - zawołał. - Jedziemy na plażę i na najpaskudniejsze lody na świecie?

- Tak! - Casey wypadła ze swojego pokoju prosto w jego ramiona. Nie miał już najmniejszej wątpliwości. Nie rzuciłaby się tak w jego stronę, gdyby nic nie widziała.

Kątem oka zauważył, że Sam ich obserwuje.

- Któregoś dnia - szepnął Casey do ucha - będziemy musieli porozmawiać o twoim sekrecie, o którym mama chyba nie wie.

Dziewczynka wyglądała na przestraszoną, co go upewniło, że się nie pomylił. Ona widzi, troszeczkę!

- Spoko, Casey. Nie bój się, to nie grzech.

- Nie mów mamie. - Przycisnęła wargi do jego ucha. - Jej się to nie spodoba.

Jak to? Dlaczego Casey uważa, że Sam nie chce, żeby ją wyleczono?

- Niech to będzie nasza tajemnica. Mama dowie się dopiero wtedy, jak jej o tym sama powiesz.

Casey się rozchmurzyła, a on poczuł, że dokonał się przełom. Casey mu ufa. Zaczyna go akceptować jako ojca i właśnie powierzyła mu swój największy sekret.

- Jeszcze nigdy nie pływałam w oceanie - wyznała Casey, gładząc go paluszkami po policzku.

- W oceanie pływa się zupełnie inaczej niż w basenie. Na pewno ci się spodoba.

- Skąd wiesz?

Parsknął śmiechem.

- To się nazywa dziedziczenie, moje dziecko. Mama i ja oboje kochamy ocean oraz to, że pływa się w nim inaczej.

- No to chyba mi się spodoba.

- Jak skończycie tę poranną sesję tworzenia więzi, możemy ruszać na plażę.

Uszczęśliwiony uśmiechnął się do Sam.

- Panno Glennon, czy uważa pani, że więź została wystarczająco zacieśniona?  
- zwrócił się do Casey.

- Nie wiem - zapiszczała Casey. - Jestem głodna! - Pobiegła do kuchni na śniadanie.

Przyglądali się jej oboje.

- Doktor Hauser jest pełen podziwu dla jej inteligencji. Twierdzi, że dorównuje dzieciom widzącym, co rzadko się zdarza.

Czy Sam nie widzi tego, co dla niego jest oczywiste? Ale w jej oczach dostrzegł tylko dumę i miłość.

- To dzięki tobie, Sam. Mogę tylko żałować, że ci w tym nie pomagałem. W porównaniu z tym, co widziałem w ośrodku w Melbourne, Casey plasuje się dużo wyżej w swojej grupie wiekowej dzieci niepełnosprawnych. I na pewno mieści się w górnych pięciu procentach w grupie dzieci zdrowych.

- Dziękuję. - Zaczerwieniła się jak dziewczynka, którą kolega poprosił o pierwszą randkę.

Taka jest Sam. Nie zdaje sobie sprawy, że można ją pokochać.

- Sam... - zaczął, zniżywszy głos. - W ciągu tych sześciu lat chciałbym mieć choćby połowę twoich osiągnięć. Jedyne, co mam, to rozwalone kolano. - Przygarnął ją do siebie. - Casey jest mądra i śliczna i ma ogromny potencjał. Jesteś wspaniałą matką.

Zadrzała, spoglądając mu w oczy w poszukiwaniu prawdy, fałszu, a może tęsknoty i miłości.

- Dziękuję.

- Sam - rzekł przez ściśnięte gardło - tak cię pożądam...

Te słowa stopiły jej opór.

- Tak... - Gdy ich wargi się spotkały, przymknęła powieki.

Och, jak Brett całuje...

Brett, źródło radości, spokoju, ciepła, poczucia bezpieczeństwa.

- Sam...

- Brett, och, Brett...



- Sam... Tak długo...

- Jedziemy?

Powoli wracali do rzeczywistości.

- Oczywiście - odparł. - Przecież się umówiliśmy.

Westchnienie.

- To czy możecie przestać się całować?

Wybuchnęli śmiechem.

- Jakby nas widziała. - Ostrożnie macał grunt.

- Wiem - szepnęła Sam. - Ona zawsze wie, co robię.

- O kurczę. - Zrobił zabawną minę. - To znaczy, że nie mam szansy do ciebie się dobrać.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - rzekła z uśmiechem.

Przerwało im kolejne udęczone westchnienie.

- Dobra, Glennonowie, marsz na plażę! - Brett schylił się po torbę.

- Ta droga prowadzi w głąb lądu, nie na plażę - zauważyła Sam z tylnego siedzenia, bo Casey bardzo chciała jechać z przodu.

- Ale my jedziemy na Wybrzeże Środkowe, na plażę Avoca, bo tam jest piękna laguna i nie ma ludzi. Idealne miejsce do nauki pływania.

- Laguny są i w Newport, i w Avalon, a to o wiele bliżej - upierała się Sam.

- Wysłuchałem komunikatu urzędu morskiego. Po ostatnich deszczach woda jest mętna, ale w Avoce będzie czystsza, poza tym są mniejsze fale. Tam jest bezpieczniej.

- Brett, daleko jeszcze? Czy będzie ryba z frytkami? I lody?

Brett rozbawiony pociągnął ją za koński ogon.

- Po kolei, skrzacie, bo stracę wątek. - Odpowiadał na jej wszystkie pytania z niezwykłą dla siebie cierpliwością.

Sam milczała, wzruszona jego łagodnością. Po raz kolejny na pierwszym miejscu postawił potrzeby Casey. Chyba coraz lepiej czuł się w roli ojca.

Nawiązywał więź z dzieckiem w oszłamiającym tempie, a uśmiechem, słowem, gestem sprawiał, że ona, Sam, czuła, jak jej serce i ciało ponownie budzą się do życia. Jest nadzieja, że Brett stanie się tym, na czym zależy jej najbardziej: dobrym ojcem.

Jesteś wspaniałą matką.

Casey w jego oczach jest sukcesem, niezależnie od niepełnosprawności.

Ale na razie jego deklaracje emocjonalne dotyczą wyłącznie jej, a ona nie pozwoli, by Casey została przez ich miłość zepchnięta na drugi plan. Z każdym jednak dniem, niemal z każdą godziną, jej postanowienie słabło. Pragnie go, kocha tak bardzo...

On musi ozdrowieć, zaakceptować swoje nowe ograniczenia oraz ograniczenia dziecka, bo inaczej łączące ich więzi będą zbyt słabe i podatne na zerwanie.

Westchnęła, gdy otworzył się przed nimi rozległy widok na Morze Tasmana. Lata całe unikała wypraw nad ocean, bo przypominały jej o tym wieczorze, kiedy Brett się jej oświadczył, o podróży poślubnej, o tym jak kochali się na rozgrzanym piasku...

Na plaży Brett poprowadził je wzdłuż linii drzew, by w ich cieniu rozłożyć pled. Bardzo powoli, co świadczyło o tym, jak bardzo cierpi, pochylał się, by wyrównać koc. Stojąc za nim, Sam podziwiała jego muskularne plecy i uda.

- Zważywszy, jak jesteś wysportowany, to kolano kiedyś przestanie boleć - zauważyła.

Odwrócił się.

- Ładny widok?

Zaczerwieniła się po uszy i szybko odwróciła, by poprawić czapkę Casey, kiedy niespodziewanie objął ją od tyłu.

- Patrz, ile chcesz - szepnął. - Ja na ciebie patrzę bez przerwy. I cieszę się, że ci się podobam. - Jeszcze bardziej zniżył głos. - Wczoraj... doszedłem do pewnych wniosków. Potrzebuję czasu, Sam.

- Masz go. Przeznacz go dla swojej córki. - Wskazała na Casey, która napełniała piaskiem wiaderko.

Przysiadł koło Casey.

Sam z pewnej odległości przyglądała się ich zabawie. Powinni od początku być razem. Gdyby nie wyjechał do Afryki...

Powinam była mu powiedzieć, że jestem w ciąży. Powinam była dać mu wybór.

- Zapraszam na lunch! - zawołała jakiś czas później.

Casey była zachwycona oceanem: słoną wodą, falami, które opływały jej ciało, piaszczystym dnem, które poznawała dłońmi i stopami. Raz po raz nurkowała, co Sam wprawiało w przerażenie, a Brett tylko się śmiał i zachęcał małą do dalszych badań, dotykiem i głosem przypominając jej o swojej bliskości. Widać było, że rozpiera go duma.

Sam odetchnęła głęboko. Być może za bardzo rozpieszcza Casey. Ale nigdy wcześniej nie miała nikogo, kogo mogłaby kochać, kogoś, kto należałby tylko do niej...

Boisz się, że stracisz Casey na rzecz Bretta.

Ta myśl ją zawstydziła, ale tego nie da się zmienić. Sieroctwo odebrało jej poczucie bezpieczeństwa.

Mimo że uwierzyła w śmierć Bretta, nie zapomniała o nim. Zawstydzona spuściła głowę. Karze go za to, że jej pragnie. Czy od początku wysłała mu sprzeczne sygnały?

- O co chodzi, maleńka? - Wyrwał ją z zadumy.

- Gdzie Casey?

- Ma koleżankę. - Wskazał na dwie dziewczynki klęczące na piasku.

Zerwała się na równe nogi.

- W wodzie?! Oszalałeś?!

Chwycił ją za rękę.

- Na plaży. Buduje zamek z piasku. Ma czapkę, jest posmarowana kremem z filtrem i ma koszulkę - wyliczał z błyskiem w oku.

- Pójdę przedstawić się matce.

- Nie. Nie psuj jej tych szczęśliwych chwil, kiedy może być samodzielna tylko po to, żeby zatrzymać ją przy sobie. - Zaczerwieniła się, a on mówił dalej. - Musisz tego zaprzestać. Ona musi wiedzieć, co ją może spotkać. Nie wolno ci jej chronić, zamykając ją w świecie niepełnosprawnych. Nie będzie ci za to wdzięczna. - Musnął wargami jej policzek. - Casey to nie ty. Ona od urodzenia jest kochana. Poradzi sobie z odtrąceniem, pod warunkiem, że znajdzie oparcie wśród kochających bliskich. Pozwól jej na samodzielność, żeby wyrosła na silną kobietę świadomą swoich słabości, ale nie pozwalającą, by zdominowały jej życie. A tak może się stać, jeżeli będziesz utwierdzać ją w przekonaniu, że trzeba ją chronić przed zwyczajnymi ludźmi.

- Ja tak postępuję? - zapytała speszona.

Pokiwał głową.

- Tak. Ona nie okazuje emocji jak ty. Czeka na twoją aprobatę, a otrzymuje ją, kiedy nie robi nic ryzykownego.

Sam ściągnęła brwi.

- Ale skoro jesteśmy szczęśliwe...

Ujął ją pod brodę.

- Jesteś szczęśliwa? Naprawdę jesteś szczęśliwa, ukrywając się przed światem, odmawiając ludziom szansy sprawienia ci przykrości?

Z całej siły zacisnęła powieki. Milczała.

- Nie wszyscy ją skrzywdzą - ciągnął. - Ciebie też. Większość to ludzie przyzwoici, a ci, którzy odwracają wzrok, częściej odczuwają skrępowanie, niż są uprzedzeni.

- Skąd wiesz, że nie są uprzedzeni?

- A skąd wiesz, że są? - Ujął jej twarz w dłonie. - Czy to przeze mnie? Czy to ja tak cię skrzywdziłem, że potrafisz zaufać tylko tym, których sprawdziłaś albo tym, którzy rozumieją ograniczenia Casey?

Opuściła ramiona.

- Nie. - Więcej nie powie.

Nie powie złego słowa o jego rodzinie, bo wie, jak Brett bardzo ich kocha.

- Maleńka, nie rób jej tego. Pozwól jej żyć pełnią życia. Nie wszyscy są tacy jak twoi nieudani opiekunowie czy dom dziecka. - Uśmiechnął się niepewnie. - Są na świecie i tacy jak brat twojej przyjaciółki, Colin, który zgadza się, żebyś mieszkała w jego domu za symboliczny czynsz, albo tacy szczęśliwcy jak ja.

Roześmiała się cicho.

- Sam, popatrz na nią.

Casey siedziała obok nieznajomej dziewczynki. Obydwie z zapałem budowały zamki z piasku. Dziewczynka śmiała się z krzywej budowli Casey, ale pokazywała, co trzeba poprawić, prowadząc jej rączkę.

Casey również zanosila się śmiechem.

- Nie pozbawiaj jej możliwości poznawania różnych ludzi - powtórzył. - Trafia się tacy, którzy sprawią jej przykrość, ale większość będzie przychylna.

- Od pięciu dni jesteś ojcem i już zostałeś ekspertem - odcięła się.

Zdzierając z niej wygodną maskę opiekuńczej matki, pokazał jej brutalną prawdę.

Zaskoczyły ją jego zapewnienia, bo spodziewała się, że będzie z nią polemizował.

- Jesteś wspaniałą matką, ale nie idealną. Wszyscy potrzebujemy pomocy, żeby poznać sprawy, których nie dostrzegamy, bo brakuje nam dystansu. - Zawahał się. - Tak jak ty mi to pokazałaś.

- Ty masz łatwo - powiedziała cicho. - Możesz naprawiać swoje błędy z doskoku...

Położył jej palec na wargach.

- Jestem stałym elementem w twoim życiu. I w życiu Casey.

Pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła?

Uśmiechnęła się smutno, przeczuwając jego reakcję.

- Musisz ozdrowieć. Podjąć emocjonalne ryzyko oraz zaakceptować to, kim teraz jesteś.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę matki nieznajomej dziewczynki, by się jej przedstawić.

Tego wieczoru Casey zasnęła natychmiast. Spała zaróżowiona, w liliowej piżamce, z anielskim uśmiechem na buzi.

Widząc zmęczenie Sam, Brett zaproponował, że sam Casey przykryje. Była wyczerpana, ale był to stan bardzo przyjemny, bo gdy Brett bawił się z Casey na plaży, miała okazję popływać. Dzięki temu oraz lodom, które jedli później, jej złość wyparowała.

Brett cierpliwie czytał nazwy smaków kolejnych lodów, wyjaśniał różnice między lodami w waflu, w rożku, w pucharku. Na pożegnanie pocałował uśpione dziecko.

Sam nikt nie całował na dobranoc, a matka trzymała ją w ramionach tylko po to, by zanieść ją na schody kościoła. Ojciec zapewne nawet nie wiedział o jej istnieniu.

Jeden z jej późniejszych opiekunów chciał ją pocałować, a gdy narobiła krzyku, żona odesłała ją do domu dziecka.

Na chwiejnych nogach, z ręką przy ustach, wpadła do łazienki.

Niespodziewanie, gdy wymiotowała raz za razem, chwyciły ją silne ramiona.

- Sam, jestem tu.

Nieraz widział ją w takim stanie, więc wiedział, co ona czuje. Było to wtedy, gdy jego rodzice raz po raz dawali jej do zrozumienia, że nie jest dobrą partią dla ich

syna, gdy w ich ślady poszła jego siostra, gdy ignorowano ją na przyjęciach, na których jego rodzice kazali im się pokazać.

Starła się z tym walczyć, ale zawsze przegrywała. Jedyłą słabością, z którą nie potrafiła sobie radzić, był strach przed odtrąceniem.

Pomógł jej podnieść się z zimnej posadzki, obmyć twarz, wypłukać usta, a potem zaniósł ją do łóżka.

- W porządku? - zapytał. Wiedział, że nie będzie chciała o tym rozmawiać, nawet z nim. - Chcesz, żebym został?

Po takich epizodach nie kochał się z nią, lecz kładł się obok, całował ją, przytulał, zapewniał o swojej miłości. Przymknęła oczy.

- Wolałabym zostać sama - odparła, mimo że już nie wiedziała, czy to prawda, czy nie. Tak długo była sama, odebrano jej wszystkie marzenia...

- Możesz jutro załatwić opiekunkę do Casey?

Przygryzła wargę.

- Sam, ja ciebie też potrzebuję.

Tak jak ona potrzebuje jego. Już to sobie uzmysłowiła. Pora podjąć ryzyko, wziąć się za bary z tym życiem, od którego od tyłu lat ucieka.

Pokiwała głową.

- Kate, ukochana przyjaciółka Casey, od dawna zaprasza ją do siebie.

Porozmawiam z Sereną, jej mamą.

- Dziękuję. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Już pójdę. - Wstał, ale jeszcze nad nią się pochylił, by pocałować ją w czoło. - Kocham cię, Sam. Zawsze cię kochałem i zawsze będę cię kochał.

Przeszył ją gorący dreszcz. On zawsze wiedział, co powiedzieć, kiedy była w takim stanie. Nawet teraz, kiedy wystawiał się na odmowę.

- Dobranoc, Brett.

Podszedł do drzwi.

- Casey jest fantastyczna. I... noszę ją w sercu.

Już miał zamknąć drzwi, ale zostawił je uchylone, na wypadek gdyby Casey się obudziła i wołała mamę. Z gorzkim uśmiechem na wargach wyszedł z domu.

Dopiero teraz Sam wybuchnęła płaczem, ale już nie wiedziała, czy płacze nad Casey, czy nad sobą.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Brett, boję się...

Uciszył ją pocałunkiem.

Wiem, aniele, wiem, ale jesteśmy razem. Na zawsze.

Patrzyła mu prosto w oczy, bojąc się spojrzeć na jego nagość. Kocham cię.

Słowa, które rzadko wymawiała na głos, poruszyły w nim falę miłości oraz przerażenia, że dotrze do niej, ile dla niego znaczy. Wystarczył tydzień, by ten bosonogi zalekniiony anioł zawładnął jego sercem, a teraz, trzy miesiące później, został jego żoną. Ja też cię kocham i będę kochał zawsze.

Pocałował jej dłoń, tę z obrączką, a potem wziął ją w ramiona i z bezbrzeżną czułością uczynił z dziewczyny kobietę. Gdy nastał świt, kobieta, którą pokochał nad życie, leżała u jego boku. W świecie pełnym niepewności Sam była jego kotwicą, źródłem nadziei, uosobieniem jego marzeń.

Uśmiechając się przez sen, poruszyła się w jego ramionach...

A wówczas tuż przy jej skroni ujrzał lufę karabinu. „Z tym sobie też poradzisz, doktorku?” - zapytał mężczyzna z diabolicznym uśmiechem na twarzy

Obudził się z przekleństwem na ustach. Czy te koszmary muszą go nękać każdej nocy?

Wspomnienia tego, co robił i gdzie był, nie opuszczały go ani na chwilę. Co rano budził się udręczony snami, boleśnie odczuwając nieobecność Sam. Co rano przeklinał los, który sprowadził Sam na jego drogę kilka tygodni za późno.



Te ponure rozmyślania przerwał dzwonek komórki, mimo że słońce nawet jeszcze nie wzeszło.

- Cześć, tato.

- Kiedy przywieziesz do nas naszą wnuczkę?

- Co u was? - zaczął ostrożnie. - Jak się czujesz?

David Glennon mówił niewyraźnie. Była to jedna z trwałych konsekwencji zniknięcia Casey z Melbourne.

- Brett, nie zmieniaj tematu. Chcę zobaczyć wnuczkę. Kiedy ją przywieziesz?

- nalegał ojciec. - Tu jest jej miejsce.

- Tato, pracuję nad tym. Casey musi się ze mną oswoić.

- Przecież to twoje dziecko.

- Oczywiście. Przywiozę ją na pewno. Tato, jaka ona śliczna - rozczulił się. - Jest podobna do Sam, ale ma oczy, dołeczki w policzkach oraz upór Glennonów. Zawzięta jak jej dziadek.

- Tak powiadasz? - W głosie ojca dźwięczał uśmiech. - Samantha pozwala ci się z nią widywać? Zajmuje się nią, jak należy?

- Oczywiście, tato. Jest wspaniałą matką.

Chwila ciszy.

- Martwiłem się o małą, bo... Samantha nie ma nikogo, kto by nią pokierował.

Ojciec mówił bardzo niewyraźnie, a to oznaczało, że jest wzruszony. Jego wnuki, siostrzeńcy Brett, oraz Casey byli dla niego wszystkim.

Brett wziął głęboki wdech. Najchętniej już by kupił bilety na samolot do Melbourne, ale nie mógł spełnić marzeń ojca kosztem utraty zaufania Sam... i Casey. Postawił sobie za punkt honoru, by to one zdecydowały o powrocie na łono jego rodziny, żeby Sam znalazła się w jego łóżku z miłości, która w jego sercu nie zgasła ani na chwilę.

Nie spiesz się, nie nalegaj, stale sobie powtarzał, mimo że czuł, że ani na krok nie zbliża się do ukochanej kobiety.

- Czy Samantha wyrazi zgodę, żebyśmy widywali Casey? - drażył ojciec. - Zgodzi się, żebyś przywiózł ją do Melbourne?

- Jeszcze nie pytałem - rzucił pośpiesznie, by nie słuchać ojcowskich argumentów. - Sam wie, że chcę sprowadzić Casey do Melbourne, ale na razie nie jest gotowa o tym myśleć. Najpierw musi mi zaufać i zaakceptować moje argumenty. Myślę, że przyjazd samej Casey nie wchodzi w rachubę. Ona ma dopiero pięć lat, a Sam jest jej jedyną podporą. Jest mnóstwo problemów związanych z przenoszeniem niewidomych dzieci w inne środowisko.

Nie wspomniał, że robi wszystko, by Sam znowu stała się jego żoną. Rodzice doskonale wiedzieli, co do niej czuje. Reagowali złością, rozbawieniem i rozpaczą na jego dwuletnie, cholernie kosztowne poszukiwania Sam i Casey.

Należy jednak przyznać, że z godnością akceptowali to, co nieuchronne. Starannie ukrywali żal spowodowany ucieczką Sam i dla dobra Casey byli gotowi ponownie przyjąć ją na łono rodziny.

- Czy Samantha rozważała możliwość powrotu do Melbourne? - Ojciec nie dawał za wygraną.

Brett pohamował się od komentarza, że ojciec już o to pytał, oraz że on już na kilka pytań odpowiedział, że nie wie.

- Idziemy dzisiaj na kolację, więc mam nadzieję dowiedzieć się więcej bez ciekawskiego świadka. - Uśmiechnął się. - Mała cały czas nasłuchuje, a potem srogo mnie karze, jeśli powiem coś, czego nie powinna usłyszeć.

Ojciec wybuchnął śmiechem.

- Wiadomo, po kim to ma! - Nie krył dumy z podobieństwa wnuczki do siebie. - Jak ci z nią idzie?

- Nieźle. - Nie wchodził w szczegóły, bo osobom po poważnych udarach należy oszczędzać silnych emocji, by nie sprowokować kolejnego.

- A z Samantha? - David Glennon zapytał z wyjątkową jak na niego delikatnością.

- Zobaczą dzisiaj wieczorem.

Po rozmowie z ojcem uznał, że dłużej nie może czekać, więc czym prędzej ruszył do Sam. Gdy z wyrazem rezygnacji na twarzy otworzyła mu, zrobił zabawną minę.

- Wiem... ale przychodzę z darami.

Rozchmurzyła się, gdy podał jej siatkę z bochenkiem chleba, kartonem mleka, pudełkiem płatków oraz torbą owoców.

- Dzięki. - Nieśmiało się uśmiechnęła.

- Zauważyłem wczoraj, że twoje zapasy się kończą. Przeze mnie, bo stale tu siedzę, a ty mnie żywisz. - Wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że to się przyda.

- Na pewno. Dziękuję, że o nas pomyślałeś. - Uśmiechnęła się tak jak tego wieczoru, kiedy się poznali.

Pożądała go, o czym świadczył jej przerywany oddech. Nie mogąc się powstrzymać, musnął wargami jej usta. Liczył na chwilę ulotnej przyjemności, ale ona zarzuciła mu ręce na szyję, więc upuścił zniechęconą kulę, by oddać się namiętności. Nareszcie znalazł się tam, gdzie jego miejsce.

Gdyby wiedział, że dar w postaci bochenka chleba otworzy jej serce, już pierwszego dnia stawiłby się z całym koszem.

Próbowała się odsunąć, ale jej palce splecione na jego karku odmawiały posłuszeństwa. Gdy chodziło o Bretta, jej organizm wiedział swoje. Jak powietrza pragnęła poczuć jego dotyk, znowu stać się kobietą.

- Sam, tyle lat czekam... Pragnę cię tak bardzo...

Mimo to nie ponaglał jej, zadowolając się czułymi pocałunkami.

- Musiałem przyjechać - tłumaczył się. - Przez sześć lat bez ciebie czułem się niepełny, ale gdy jestem z moimi dziewczynkami, mam wrażenie, że ten koszmar minął.

O, jak ona dobrze to rozumie... Świadomość, że jest mu potrzebna, przyprawiła ją o zawrót głowy. Co więcej, Brett bez zająknięcia uwzględnił też Casey, a to znaczy, że uczy się kochać swoje dziecko.

- Brett... - szepnęła pełna nadziei.

- Długo będziecie się tak całować? Mamo, chyba już uciekł nam autobus do Glenmore Park.

Sam spłoszona spojrzała na zegarek.

- Masz rację, skarbie. Uciekł.

Brett ucałował jej rękę, po czym odparł:

- Masz rację, całowaliśmy się. Obudziłem się rano bardzo smutny, bo brakowało mi moich dziewczynek, więc szybko tu przyjechałem, żeby ktoś mnie pocieszył. Teraz twoja kolej. Pocałujesz swojego biednego starego ojca?

Casey padła mu w ramiona, po czym głośno cmoknęła go w policzek.

- Już lepiej?

- Zdecydowanie. W podziękę zawiozę was do szkoły. Gotowa? To wsiadaj. Twoje drzwi są otwarte, cztery kroki przed bramą.

- Hurrra! Fajnie jest mieć tatę! - Casey wyrwała się z jego objęć. - Lecę po plecak.

Sam nie miała wątpliwości, że cała czułość w jego oczach jest tym razem przeznaczona dla Casey.

- Casey była nieszczęśliwa po tym, jak wczoraj wyszedłeś - powiedziała.

- Chyba zaczyna mnie lubić - stwierdził zadowolony.

- Wczoraj byłeś kapitałny. Przepraszam za to, co powiedziałam...

Położył jej palec na ustach.

- Wystarczy nam tych błędów, żalów i smutków... Zaczniemy od nowa.

- Dobrze - szepnęła.

- Jedziemy?

Dopiero gdy trzasnęły drzwi samochodu, zorientowała się, że Casey już siedzi w aucie.

- Muszę wziąć torbę z jej rzeczami, bo prosto ze szkoły Casey pojedzie do Kate. Pierwszy raz w życiu będzie nocowała poza domem.

Rzucił jej płomienne spojrzenie, a ona bez trudu odgadła jego myśli. Tego wieczoru będą sami.

- Brett...

- Nie wolno mi mieć nadziei? Od ciebie zależy, co się dziś wydarzy.

Cokolwiek się stanie, jestem z tobą. Może nareszcie mi uwierzysz.

Gdy przytaknęła, pocałował ją tak czule, że zapomniała o bożym świecie.

- Spóźnię się, jak nie przestaniecie! - wrzasnęła Casey. - Brett, powiedziałeś, że już ci lepiej! Mamo, zabierz moją torbę!

Czar przysł.

- Zdaje się, że musimy ruszać - zauważył z uśmiechem.

Sam przytaknęła i zawróciła po rzeczy Casey.

Szykowała się do wyjścia z mieszanymi uczuciami. Przywykła do obecności Casey do tego stopnia, że niemal zapomniała, kim jest. Tego wieczoru miała być Samanthą, więc usilnie starała się sobie przypomnieć, co lubi albo czego chce. Kim była, nim została matką Casey?

Denerwowała się okropnie na myśl, że będzie sama z Brettem, zwłaszcza po tych słodkich porannych pocałunkach. A jeśli on oczekuje...

Tym razem stawka była jeszcze wyższa. Pragnie go, ale czy mu to okaże, to całkiem inna sprawa. Najpierw musi się dowiedzieć, czego chcą jego rodzice, czego on chce od niej, czy wystąpi do sądu z wnioskiem o odebranie jej Casey...

Gdy zabrzmiał dzwonek u drzwi, serce w niej zamarło. Ale gdy stanęła w progu, ujrzała przed sobą wiązankę żółtych żonkili i róż tak dużą, że całkiem Brettowi zasłaniała.

- Pięknie wyglądasz - powiedział, nie mogąc oderwać od niej wzroku. -  
Gotowa? Stolik mamy zarezerwowany na siódmą. Mam nadzieję, że nadal lubisz  
kuchnię tajską? - Przytaknęła. - Dowiedziałem się, że Star of Spices w Parramacie  
jest godna polecenia. Byłaś tam? - Zaprzeczyła. - Tam trzeba przyjść z własnym  
alkoholem. Może być wino?

Znowu skinęła głową. Przyjemnie będzie napić się wina. Po raz pierwszy od  
roku, od imprezy dobroczynnej w ośrodku.

- W dalszym ciągu do tajskiego jedzenia wolisz białe wino? - zapytał,  
zamykając drzwi na klucz.

- Oczywiście

- Na wszelki wypadek kupiłem po dwie butelki. - Otworzył jej drzwi do  
samochodu. Gdy ruszyli, podjął inny wątek. - Cieszę się, że mogłem was dzisiaj  
odwieźć. Glenmore Park to niesamowite miejsce. Nie mogę się nadziwić pomy-  
słowości ludzi, którzy prowadzą takie placówki.

Dotknął jej ulubionego tematu, więc swobodnie odpowiadała na jego pytania.  
Aż zamrugwała, gdy zatrzymali się na parkingu tuż przy modnej promenadzie.

Dawniej zdarzało się jej tu spacerować, ale było to jeszcze przed narodzinami  
Casey. Potem przemykała z nią tędy jak najszybciej, jedynie opowiadając córce,  
skąd unoszą się różne zapachy i jakie dania tak pachną.

Teraz mogła swobodnie napawać się niezwykłym klimatem promenady. Oto  
idzie u boku Brett. Świat stał się barwny i piękny, a ona może się nim cieszyć bez  
poczucia winy.

Przez jedną cudowną noc znowu będzie kobietą i zamierza cieszyć się każdą  
chwilą.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie przejmowała się, że idzie z mężczyzną, który kuleje. Rozglądała się ciekawie, od czasu do czasu coś mu pokazując. Była szczęśliwa, a jej radość i jemu się udzieliła.

Tyle lat mu tego brakowało: Sam oraz radości życia, możliwości patrzenia na świat jej oczami.

Jak długo ona odczuwała ten niedostatek? Widział już jej czułość, siłę, entuzjazm, ale takiego zachwytu dotychczas nie okazywała. Czy sprawia to jego obecność, czy to, że uwolniła się od poczucia winy?

Zasiedli w eleganckiej restauracji. Gdy popijali wino, zamówił owoce morza, pamiętając, że Sam za nimi przepadała.

Jego anioł nie zginął, nawet niewiele się zmienił, po prostu zniknął pod ciężarem potrzeb Casey. Nadszedł czas pomóc mu oswobodzić się z pęt egzystencji skupionej wyłącznie na Casey. Nikt inny nie potrafi tego dokonać.

Uniósł kieliszek.

- Za co pijemy? - zapytała.

- Za życie pełnią życia - odparł, próbując odgadnąć jej myśli, bezgłośnie przekonać ją, że tej nocy ma prawo być kobietą, jego kobietą.

- Jak myślisz, Casey dobrze się bawi? - Gdy podniósł do jej ust krewetkę, spłoszyła się. - Wino jest dobrze schłodzone? Chcesz więcej sosu śliwkowego do krewetek?

Przełknęła kęs.

- Wyśmienite. Brett, czuję, że Casey...

Uniósł jej dłoń, by pocałować ją w nadgarstek.

- Smakujesz lepiej niż dawniej. Kobiecość i macierzyństwo ci służą. Stałaś się jeszcze piękniejsza. Twoja aura sprawia, że chcę zawsze być przy tobie.

Wzrok jej pociemniał, zdradzając wzbierającą w niej namiętność, którą starała się pokryć słowami.

- Casey...

- Sam, nic złego się jej nie dzieje. - Patrząc jej w oczy, zobaczył małą przestraszoną dziewczynkę. - Na pewno bawi się z Kate lalkami i zapomniała o bożym świecie.

Trochę się zrelaksowała i przyjęła drugą krewetkę, którą wolną ręką podał jej do ust.

- Możliwe. Ona i Kate często...

- Później o niej porozmawiamy - wszedł jej w zdanie. - Casey nie powinna być pępkiem świata. Powinna wiedzieć, że inni też mają swoje potrzeby.

- Przemawia przez ciebie egoizm. Ona jest dzieckiem...

- Bardzo pewnym siebie. Wie, że jest kochana. Jest szczęśliwa, zapewne nawet bardziej niż wiele dzieci widzących.

- Ale...

- Sam, dawanie przysparza więcej zadowolenia niż branie. - Był to chyba jedyny cytat z Pisma Świętego, który zapamiętał ze szkoły niedzielnej. - Nie czerpiesz radości z dawania jej i innym dzieciom?

- Ależ tak - odparła rozpromieniona.

- Mnie zawsze kręci pomaganie innym. - Znowu musnął wargami jej dłoń, a ona aż rozchyliła usta.

- Tobie wzrok płonął, jak mówiłeś o Afryce. To mnie... inspirowało - dokończyła półgłosem.

Podał jej trzecią krewetkę.

- Czyli zgadzasz się, że lepiej jest dawać?

- Słucham? Ach... hm... tak...



Mocniej zacisnął palce na jej ręce, przeczuwając, że ją cofnie, gdy usłyszy, co ma jej do powiedzenia. Dlaczego naciska na nią jak natarczywy głupiec, skoro chciał z nią porozmawiać o wspólnej przyszłości?

- Więc nie pozbawiaj swojego dziecka tej radości.

Czar przysł.

- Ona jest za mała!

- Sam, jakie jest twoje pierwsze wspomnienie z domu dziecka poza tym, że czekałaś na mamę i tatę?

Podniosła kieliszek do ust.

- Robiliśmy dekoracje na powrót Petera, który wracał ze szpitala po operacji - odrzekła drżącym głosem.

- Ile miałaś lat?

Niemal zakrztusiła się winem.

- Sz...sześć.

Pogładził ją po ręce.

- Pomyśl, ile radości może dać dawanie innym. Casey może dać bardzo dużo. Pozwólmy jej błyszczeć. - Spokojnie, jakby nie podrzucił jej bomby emocjonalnej, zabrał się do jedzenia. - Rewelacyjne są te krewetki.

- Nie zmieniaj tematu. Wpędzasz mnie w poczucie winy i udajesz, że nic się nie stało. Dzisiaj znowu mnie uwiodłeś.

Winem, jedzeniem, pocałunkami. Sprawiliś, że Casey cię kocha. Jestem następnym celem twojej kampanii?

Jej bezbarwny głos uprzytomnił mu, że nie dość, że posunął się za daleko, to jeszcze zepsuł wieczór. Drżała, tłumiąc emocje, i nie miało to nic wspólnego ze zmysłowością. Brett wyprostował się i czekał na dalszy ciąg.

- Ułożyłeś sobie misterny plan, tak? Przyjechałeś do Sydney, żeby z zaskoczenia zabrać nas do siebie. Chcesz wychować Casey na stuprocentowego Glennona. Owszem, sprawdzam się w roli matki, ale nie mam żadnej tradycji

rodzinnej do przekazania. Zmieniłeś jej nazwisko... ku jej radości. A teraz za pomocą wystawnej kolacji, kwiatów i wina przygotowujesz mnie do tego, na czym naprawdę ci zależy: żebyśmy mieszkali z tobą w Melbourne.

Rozszyfrowała jego zamiary bezbłędnie. Przeoczyła jedynie to, że jego celem jest kochać się z nią i sprawić, by od nowa go pokochała, zanim zabierze je do Melbourne jako swoją rodzinę zgodnie z planem, który obmyślił po powrocie z Afryki.

Ale teraz spojrzał na to jej oczami. Jego plan wymaga wyrwania Casey z otoczenia, które ona zna i kocha, oraz pozbawienia Sam kontroli nad dobrostanem dziecka, przy czym każda jej decyzja bez wątplenia będzie kwestionowana przez jego rodziców.

- Może mi wyjaśnisz, dlaczego spieramy się w każdej kwestii dotyczącej Casey, chyba że zgadzam się coś zrobić tak, jak ty chcesz? - zapytała.

- Jeśli tak to odbierasz, to przepraszam. Nadal uczę się ojcostwa, ale czuję, że do tego nie dorastam.

- Rozumiem. - Jej spojrzenie złagodniało. - To jest jedyna przyczyna?

- Oczywiście pewne rzeczy bym zmienił, ale ty podobnie widzisz moje pomysły i metody. Czy rodzicielstwo nie polega na uzupełnianiu się?

- Jesteś gotowy iść na kompromis?

- Zrobię wszystko, żeby osiągnąć swój cel.

- I tym celem jestem ja?

- Ty i Casey - przyznał, nie przestając gładzić jej ręki. - Chcę mieć rodzinę. Chcę, żebyście zawsze byli przy mnie, żebyście mieszkali w moim domu, istnieli w moim życiu, żebyś dzieliła ze mną łóżko. Chcę mieć więcej dzieci. I to z tobą, Sam.

- A jeśli powiem, że nie wrócę do Melbourne? Że jest nam dobrze tutaj? - zapytała po namyśle.

- Moje życie, moi rodzice są w Melbourne. - Sondował po omacku jak Casey na nieznanym terytorium.

- Jeśli oni są dla ciebie najważniejsi, wracaj tam.

- Chcesz tego? Myślisz, że Casey też by tego chciała? Będzie ci wdzięczna, jak wyjadę?

Skrzywiła się. Miało być przyjemnie, a okazało się, że ten wieczór jest naszpikowany ryzykiem.

- Wiem, Sam, jak ważne jest dla ciebie poczucie bezpieczeństwa, ale czy warto za nie zapłacić cenę pytań Casey, dlaczego wyjechałem i czy mam rodzinę, którą ona chciałaby poznać? - Zawahał się. - Bo ja nie zniknę z jej życia, niezależnie od tego, co będzie z nami.

Kelnerka podała danie główne.

- Chcesz zgarnąć wszystko, tak? - zapytała Sam po dłuższej chwili, odkładając widelec. - Ciągle uważasz, że twoje marzenia są dla wszystkich najlepsze.

Wsunął rękę pod stół, by rozmasować obolałe kolano. Trudno nazwać to romantycznym wieczorem pojednania...

- Sam, tam są moi rodzice. Oboje tam dorastaliśmy - zauważył opanowanym tonem.

- Masz z Melbourne szczęśliwe wspomnienia, a ja nie chcę patrzeć na to miasto.

- Tam braliśmy ślub. Tam mieliśmy przyjaciół.

- Twoich przyjaciół. Tam była twoja praca, twoje życie, twoje plany.

Wszystko było twoje. A ja tylko na doczepkę. - Wzruszyła ramionami. - Tam się dowiedziałam, że nie żyjesz. Oni... zamknęli się przede mną. Nie byłam dla ciebie dobra, ani nawet dla Casey. Musiałam stamtąd się wyrwać...

W zamyśleniu masował kolano. Skąd w niej tyle goryczy? Stało się coś, o czym ona nie chce mówić?

„Zamknęli się przede mną... nie byłam dobra, ani nawet dla Casey”.

Subtelne naciski rodziny, by rozwiódł się z Sam i poszukał sobie „bardziej odpowiedniej” żony, nabrały nowego znaczenia. Nagle przypomniały mu się różne „incydenty”, których wolał nie dostrzegać.

Meghan, która nie chciała zaprzyjaźnić się z Sam: „Jesteśmy takie różne...”. Porada, jakiej udzielili jej jego rodzice przed jakimś ważnym przyjęciem: „Kochana, nie mów nikomu, skąd jesteś ani gdzie się wychowywałaś. Jak cię ktoś o to zapyta, odpowiedz grzecznie i wymijająco. Wiesz, jak to się robi, prawda?”.

Koszmarne były prezentacje na rodzicielskich salonach. „To nasz syn, Brett. Jest lekarzem i wybiera się do Afryki. Jego ambicją jest zostać sławnym chirurgiem. Ach, a to jego... koleżanka, Samantha”. A gdy „koleżanka” została żoną, ich wahanie w takich sytuacjach znacznie się wydłużyło. Czy już zapomniał, jak się uśmiechała, by powstrzymać łzy?

Wyjeżdżając do Afryki, zostawił ją na ich łasce i niełasce, ufając, że kierowani wrodzoną dobrocią oraz miłością do syna nie dopuszczą do poważnych zgrzytów.

Jeśli nie szczędzili jej uwag, gdy był przy niej i jej bronił, to jak to wyglądało pod jego nieobecność?

Nie odbierzesz mi Casey!

Jak mógł się tego nie domyślić?! Tylko to mogło zmusić Sam do zmiany nazwiska oraz stanu. Jego rodzice byli gotowi na wszystko, by zatrzymać wnuczkę pod swoim dachem.

Nareszcie pojął, co go czeka. Sam pewnie boi się, że zostanie wyeliminowana z życia Casey, a mała w końcu dojdzie do wniosku, że ma złą matkę.

Co robić? Jego marzenia o pracy i życiu w Melbourne w jednej chwili legły w gruzach. I, co ważniejsze, jak on ma to jej zadośćuczynić? To, przez co przeszła, te wszystkie lata zaniechania i oskarżeń?

- Brett, co ci jest?

- Nic mi nie jest.

- Nie chciałam...

- Chciałaś - wyszeptał - ale należało to powiedzieć.

- Ja... - Przygryzła wargę.

- Nic nie mów.

Pokiwała głową.

- Boli cię noga?

Nareszcie mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą:

- Zdaje się że jeszcze nici z tańczenia.

- Dlaczego to nie goi się prawidłowo? - Nie kryła niepokoju. - Wytrzymasz wysiłek fizyczny związany z pracą w szpitalu?

Zacisnął zęby, w duchu błagając ją, by nie odzierała go z nadziei na przyszłość.

- Dzięki za troskę, ale mam dosyć takich pytań stawianych przez moją terapeutę.

- Nie chciałam sprawić ci przykrości, przepraszam. To nie mój interes, tak?

Ona ma rację. On się czepia marzeń, w które sam powoli zaczyna wątpić. Trzymał się ich tak kurczowo, bo nie wiedział, co ze sobą zrobi, jeśli nie będzie mógł zostać chirurgiem.

Czyja to wina? Nie musiał pchać się do Afryki. Mógł posłuchać głosu rozsądku i wybrać bezpieczniejsze miejsce.

Sam wytarła nos. Zawsze to robiła, by nie płakać.

- Nie, to nie tak. To jest twój interes, bo jesteś moją żoną i... - Jak trudno to powiedzieć. - Miałaś rację. Muszę pogodzić się z faktem, że nie jestem doskonały. Ani jako lekarz, ani jako ojciec... ani jako mąż. Zostawiłem cię, a powinienem był przewidzieć, co oni ci zrobią.

- Nie ma o czym mówić. - Bawiła się łyżeczką.

- Właśnie że jest. Nie mieli prawa cię ranić, a ja wyjeżdżać, zakładając, że wszystko jest w idealnym porządku, że należy mi się twoje wsparcie, podczas gdy twoje życie się rozsypywało. Nie powinienem był ruszać się bez ciebie.

- Brett, to już przeszłość. Trzeba zacząć od nowa, ale zanim uznamy, że mamy szansę na wspólną przyszłość, oboje musimy zaakceptować przeszłość.

- Tak, akceptacja... - mruknął w zamyśleniu. - Musimy akceptować fakt, że przed nami jest wspólna przyszłość, że nigdy cię nie opuszczę, że bardzo cię kocham.

- Brett...

- Pokażę ci dzisiaj, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni. Łącznie z tym, że oboje tracimy apetyt, jak się martwimy. - Uśmiechał się rozbrajająco. - Poproszę, żeby nam to zapakowali. Zabierzemy do domu. Jeśli oboje możemy nazwać to domem. - Czekał, jak Sam zareaguje.

- I co dalej? - zapytała.

- Zaczniemy od nowa. Wypijemy wino, dokończymy to jedzenie... Mam nadzieję, że nie popsułem tego wieczoru.

- Innymi słowy, ten wieczór jeszcze się nie skończył? - Patrzyła na niego wyczekująco.

- Zdecydowanie nie, aniele.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Siedząc obok Brett, który gnał do domu jak szalony, zastanawiała się, czy nie postradała zmysłów. Ten pośpiech utwierdzał ją w przekonaniu, że w jego życiu nie ma nikogo innego. Prawdę mówiąc, nigdy w to nie wątpiła.

- Ile panien na wydaniu przedstawili ci rodzice i siostra przez te dwa lata?

- Żadnej, aniele, która by mnie interesowała.

- Nie wątpię. - Uśmiechnęła się. - Ty dotrzymujesz obietnic. Ale zdajesz sobie sprawę, że cokolwiek dzisiaj się wydarzy, nie musi oznaczać, że zawsze będziemy razem?

- Ale będzie to krok naprzód, a nie zdecydowałambyś się na niego, gdybyś o tym poważnie nie myślała.

Fakt, nie poszłaby z nikim do łóżka bez miłości.

Ani z kimś, kto nie kochałby Casey. Brett obalił wszystkie jej bariery, a ona nabrała przekonania, że powinna pozwolić mu wrócić. Gdy zatrzymali się przed domem, popatrzyła na niego.

- Rozmyślałaś się? Wypijemy kawę i... odjadę.

Chwycił ją za serce, podsuwając jej takie wyjście z sytuacji. Wziął pod uwagę jej uczucia, czego nie robił, kiedy się pobrali. Wówczas to on podejmował wszystkie decyzje. Teraz szanował jej opinię i respektował jej zasady...

- Chodźmy. - Podała mu kulę.

Ledwie weszli do domu, jej wzrok padł na mrugające oko automatycznej sekretarki.

„Sam, przepraszam, ale Casey obudziła się i płacze. Domaga się ciebie. Przywiozłabym ją, ale Kate też się rozplakała. Nie dam rady. Czy twój mąż może po nią przyjechać? Ona jego też woła”.

Sam rzuciła się do telefonu, by oddzwonić do Sereny.

- Będziemy u was za dziesięć minut. Przepraszam, że nie odebrałam, ale rozłączyłaś się, zanim weszliśmy.

Po dwóch minutach siedzieli już w aucie.

- Przepraszam - szepnęła Sam.

- Nie ma za co. - Potrząsnął głową. - Najnowsze badania wykazały, że niewidome dzieci w wieku Casey pod wpływem stresu mają złe sny. Musiała czymś się przejąć. - Rzucił jej zaniepokojone spojrzenie. - Myślisz, że to przez nas? Że ona nie chce, żebyśmy byli razem?

- Nie powiedziała niczego, co mogłoby na to wskazywać.

- Miewała wcześniej złe sny?

- Nocne lęki. To reakcja na zmiany.

- Bo wtargnąłem w jej życie?

- Nie sędzę. Myślę, że zareagowałaby wcześniej. Chyba chodzi o nowe miejsce. - Dotknęła jego ręki. - Brett, przestań się obwiniać.

- Nie mogę. - Westchnął. - Zburzyłem wasz dotychczasowy spokój.

- Ale dzięki tobie jej życie jest ciekawsze - oświadczyła. - Już to zrozumiałam.

I nie będę ci robić trudności, jak zechcesz zawieźć ją do rodziców.

Wstrzymała oddech, oczekując, że Brett zacznie nalegać, by i ona pojechała do Melbourne.

- Pod warunkiem, że Casey sama tego zechce - odparł. - Jeżeli ten sen to przeze mnie...

Gdy zaparkowali pod domem Sereny, niemal biegiem, na ile pozwalała mu kula, puścił się do drzwi. Ledwie Serena im otworzyła, dobiegło ich rozpaczliwe zawołanie:

- Mama, mama! Brett, Brett!

Wpadł do salonu, gdzie na kanapie siedziała otulona pledem blada i zapłakana Casey.



- Hej, skrzacie - przemówił do niej czule. - Tak bardzo chciałaś pójść z nami na kolację, że przyśniło ci się, że cię zostawiliśmy?

Usiadł, a ona natychmiast wdrapała mu się na kolana i mocno w niego wtuliła. Kołysał ją i przemawiał ciepło, by ją ukoić. Sam obserwowała ich. Poczowała, że nadszedł przełomowy moment w jej stosunkach z Brettem, ponieważ najważniejsza okazała się dla niego Casey. Nie robił tego na pokaz, był na to zbyt przejęty. Działał instynktownie. I skutecznie, bo Casey stopniowo się uspokajała.

Prawdziwy ojciec.

Więc Sam nareszcie wolno go pokochać. Z nim nawet stanie oko w oko z jego rodziną, bo dopiero niedawno pojęła, że jego milczenie wówczas nie było pozbawione sensu. „Sam, pozwól jej nauczyć się radzić sobie z porażką i odrzuceniem. Nie ograniczaj jej potencjału”.

W trakcie jej potyczek z Glennonami zawsze był przy niej, czekał, by się odezwała. Wierzył w nią, ale ona nie wierzyła w siebie. Chciała mieć bohatera i go znalazła, człowieka, który znał jej potrzeby i czekał, aż ona odkryje swoją siłę.

Gdy Casey zasnęła, podziękowali Serenie i wyszli. Podpierając się kule, Brett zaniósł ją do samochodu. Oddał Sam kluczyki, bo mała nie chciała się z nim rozstać, przy każdej próbie rozdzielenia budząc się i płacząc.

Już w domu Sam nie przejęła inicjatywy, jedynie rozścieliła łóżko Casey.

- Jesteś u siebie, skrzacie - szeptał Brett, kładąc małą do łóżka. - Już nic złego się nie stanie. Jesteśmy przy tobie.

Ale Casey nie mogła zasnąć. Nie puszczała Bretta, który z bólu aż zbladł, pochylony nad nią w niewygodnej pozycji.

- B...Brett... - chlupała Casey.

- Co się stało, skarbie?

- K...Kate powiedziała, że jej tata przestał ją odwiedzać, jak się ożenił i ma inne dzieci... - wyjąkała Casey.

Poczuł, jak serce mu rośnie. Rozpromienił się. Casey go kocha. Chce, żeby został.

- Casey Amelio Glennon, posłuchaj. Jesteś moją córką pierworodną i bardzo cię kocham. Nigdy cię nie opuszczę.

Te zapewnienia ostatecznie ją ukoiliły. Przeniosła niewidzące spojrzenie na człowieka, który w ciągu tygodnia na zawsze odmienił jej życie, zadając mu nieme pytanie.

- Tak, kocham cię, mój głupiutki skrzacie - powtórzył. - Zrozumiane?

Casey przytaknęła, szeroko się uśmiechając.

- To dobrze, bo masz to zagwarantowane do końca życia. A jeśli mama i ja będziemy mieli więcej dzieci, to wszystkie będą potrzebowały starszej siostry, żeby uczyła je różnych rzeczy i żeby się nimi opiekowała.

- Nie będziesz miał dzieci z inną panią? Ale jak one będą widziały, to będziesz je bardziej lubił.

Sam słuchała tego ze ściśniętym sercem. Brett ma rację: zaraziła Casey swoimi lękami.

- Nigdy w życiu. - Położył sobie na sercu małą rączkę. - Słowo honoru.

Kocham twoją mamę tak samo jak ciebie. Kocham cię taką, jaka jesteś.

Casey ułożyła się wygodniej.

- Zostań ze mną - szepnęła.

Rzuciwszy Sam bezradne spojrzenie, podał jej opakowanie tabletek przeciwbólowych.

- Oczywiście. - Pot spływał mu po twarzy, ale przytulił małą.

Sam pospieszyła do kuchni po wodę. Wróciwszy, miała okazję posłuchać, jak przemawiał do Casey.

- Ja też mam złe sny.

- Wiem. Śniło ci się coś, jak u mnie spałeś,

- Och... Przepraszam. Widziałem różne straszne rzeczy, które teraz mi się śnią po nocach. Ale od kiedy jestem z tobą i mamą, bledną, więc nigdy was nie porzucę. Wiem, jak to jest, kiedy człowiek się boi, a jest sam.

Casey westchnęła.

- To ja będę cię pocieszać.
- Już mnie pocieszyłaś.
- Brett, myślisz, że powinnam powiedzieć mamie o Ryanie?
- O kim? - spytał zaskoczony.
- To mój sekret. O Ryanie, moim narzeczonym.

Jego zdumienie nie miało granic. Idiota, łudził się nadzieją, że Casey coś widzi, marzył, że można ją wyleczyć, że stanie się doskonała. Jej tajemnica to kolega?

No cóż, ojcowie borykają się z takimi problemami.

- To jeden z chłopców z ośrodka?
- Z Glenmore Park. Poznałeś go, nie pamiętasz? Powiedział, że jestem piękna.
- To jedno z dzieci widzących?
- Jasne. Skąd by wiedział, że jestem piękna, gdyby był niewidomy?
- Racja. - Gdzie jest Sam z tymi prochami? - Dlaczego myślisz, że mamie by się to nie podobało?

Casey ziewnęła.

- Mama nie lubi tamtych dzieci. Tych innych ode mnie. I nie lubi, jak nie jestem z nią.

Od strony drzwi dobiegł go ledwie słyszalny szelest. Odwrócił się. Sam ponuro kiwała głową. Wiedziała, że te słowa były adresowane do niej... ponieważ Casey zawsze wie, gdy jej matka jest w pobliżu.

Wykorzystała jego obecność do złagodzenia przykrości, jaką sprawiła matce. Potrzebuje go!

Sam podała mu tabletki i szklanekę z wodą.

- Casey, przepraszam. Nie byłam miła dla Ryana.

- Ale on jest naprawdę sympatyczny.

- Lubisz go?

- Mamo, ja go kocham. To mój narzeczony!

Jej oburzenie ich rozbawiło.

- Rozumiem - odrzekła Sam z powagą. - Przepraszam. Chcesz go do nas zaprosić?

- Będzie u nas nocował?

- O nie - odezwał się Brett. - Chłopcy nie będą tu nocować. Tylko dziewczynki. Tak zarządził tatuś. Ryan może się tu bawić, zjeść z nami kolację, ale potem jazda do domu!

- No dobra. - Casey nie do końca była zadowolona, ale przystała na takie zasady. - Teraz będę spać.

- Dobranoc, słonko. - Sam pocałowała ją w czoło, po czym zmysłowo musnęła jego wargi i wyszła.

Godzinę później obolały podniósł się z łóżka Casey. Gdzie Sam postawiła kulę? Jeśli jej nie znajdzie, będzie zmuszony spać w salonie. Niczego nie można być pewnym.

W końcu dotarło do niego, że jego kolano może nigdy nie odzyskać pełnej sprawności, że musi nauczyć się akceptować brak perfekcji... ale może to osiągnąć.

Uchodźcy błakający się w Mbuce wiedzieli więcej niż on, bo on dotarł do prawdy dopiero, gdy stracił wszystko, co było dla niego najważniejsze.

Bez rodziny, bez miłości marzenia są nic niewarte. Nie musi zostać chirurgiem. Nie musi mieszkać w Melbourne. Ale nie może żyć bez tej kobiety i tego dziecka.

Gdzie jest kula?

- Dokąd się wybierasz?

Sam w krótkiej nocnej koszulce stała w drzwiach swojej sypialni. Kiwała na niego palcem.

- Chodź no tutaj!

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Gdy o świcie odezwała się komórka, Brett już nie spał. Rozmyślał, trzymając Sam w ramionach. Podejrzewał, że i ona czuwa, ale nie chce niczego na nim wymuszać. Nie wyjaśniła, co rodzice jej zrobili, ale on już wiedział.

- Cześć, tato. Jak się czujesz? A jak mama?

- Kiedy wrócisz na łono rodziny z moją wnuczką?

- To zależy od Sam i Casey. Zawiadomię was.

- Psiakrew, ja chcę poznać moją wnuczkę!

Brett wyobraził sobie poczerwieniałą twarz ojca.

- Wiem, jak traktowaliście Sam - oznajmił. - Przestraszyliście ją i poczuła się zagrożona. - Usłyszał, że Sam wstrzymała oddech. - Nie mogę jej prosić, żeby wróciła do Melbourne, i znowu wystawiać na waszą bezduszość.

Ojciec odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Nie wiem, o czym mówisz. Co ja jej zrobiłem?!

Cholera, po sześciu udarach ojciec prawdopodobnie niewiele pamięta.

- Tato, połącz mnie z mamą. - Przekazał jej treść rozmowy z ojcem.

- Przeczuwałam, że ona ci się pożali - powiedziała matka z lekkim przekąsem.

- Nic mi nie mówiła. Sam doszedłem do takiego wniosku. - Z miłością popatrzył na Sam. - Mamo, ona złego słowa o was nie powie. Za bardzo mnie kocha.

- Rozumiem. Chcesz wiedzieć, jak to wyglądało.

- Tak. I dlaczego mi o tym nie powiedziałaś.

- Zaczekaj, przejdę do drugiego pokoju. Ojciec niczego nie pamięta, więc lepiej go nie denerwować. - Upłynęło parę minut. - Ojciec był przekonany, że Samantha nie potrafi być matką. Nie spał po nocach, gdy kupowała dla małej używane rzeczy, bo nie chciała pieniędzy na nowe. Zażądał, żeby z nami mieszkała, ale już dwa tygodnie później miał jej za złe to, że lubi pływać, i sposób, w jaki się odżywia. - Matka westchnęła. - Zagroził, że na drodze sądowej odbierze jej dziecko, że udowodni, że jest złą matką. Tego samego dnia zniknęła, opróżniając wasze wspólne konto. Była z nami tylko po to, żeby ci pokazać, że się starała.

- No to o wiele więcej, niż wy zrobiliście. - Nie chciał urazić kobiety, która przez całą dobę jest na każde wezwanie męża. - Czy chociaż staraliście się ją lepiej poznać, przyjąć do rodziny jako kogoś więcej niż matkę waszej wnuczki? -

Odpowiedziało mu milczenie. - Przywiozę je do Melbourne, jak same tego zachcą. Jest im dobrze w Sydney i nie ma żadnego powodu, żeby przeprowadzały się do Melbourne... chyba że znajdziecie jakiś ważny powód. Taki, który pozwoli Sam uwierzyć, że będzie przez was mile widziana.

- Osiądziesz w Sydney?!

- Jeśli one chcą tu zostać, to i ja tu zamieszkać. Z powodu kolana na kilka lat muszę zapomnieć o chirurgii. Będę lekarzem pierwszego kontaktu. Tak też można pomagać ludziom i zarabiać. Sam robi to dla Casey od pięciu lat.

Sam, ciężko oddychając, wtuliła w niego twarz.

- Brett, rozumiem, że masz do nas żal, ale myśmy tylko chronili naszą rodzinę.

- Mamo, więc zrozum, że ja też chronię moją rodzinę. Ty nie życzysz sobie, by ktokolwiek denerwował ojca, a ja żeby ktokolwiek krzywdził Sam. Kocham ją tak samo jak ty ojca. Sam jest moją żoną i od teraz jest dla mnie najważniejsza.

- Ojciec...

- Ojciec musi pogodzić się z porażką. Jak my wszyscy. Mojej decyzji nic nie zmieni, nawet groźba kolejnego udaru. Przekaż mu, że zobaczy wnuczkę, jak dojrzejecie do tego, żeby moja żona dobrze się czuła w waszym domu.

- Obawiam się, że ojciec już się nie zmieni - odparła matka. - On już tego nie pamięta, jest gotowy tolerować...

- Nie - wszedł jej w słowo. - Albo godnie przyjmiecie naszą trójkę, albo nie poznacie Casey. A ona jest rozkoszna...

- Zrobię kawę - szepnęła Sam ze łzami w oczach.

- Dzięki, maleńka - odpowiedział na tyle głośno, by dotarło to do uszu matki.

Sam wstała, ubrała się, po czym otworzyła drzwi. A tam powitała ją uśmiechnięta Casey. Znowu podsłuchiwała!

- Cześć, skrzacie - powitał ją Brett.

- Dziękuję ci, tato. Za to, że jesteś taki fajny. - Ochoczo wskoczyła do łóżka. - Rozmawiasz z moją babcią? Bo słyszałam, jak mówiłaś „mamo”.

- Tak. Chcesz jej coś powiedzieć? - Podał małej słuchawkę.

Znał swoich rodziców, więc był pewien, że wystarczy kilkuminutowa rozmowa z Casey, by z otwartymi ramionami przyjęli Sam na łono rodziny. Casey, jak to miała w zwyczaju, zasypała dziadków pytaniami, a gdy powiedziała dziadkowi, że jest zabawny i zaraz potem zapytała, czy może ich odwiedzić, Brett czuł, że już podbiła serca jego rodziców.

Wysłuchał jeszcze ich zachwyty na jej temat, po czym pożegnał się pod pretekstem śniadania, które już na niego czeka. Idąc do kuchni, minął Casey.

- Skrzacie, muszę porozmawiać z mamą, więc tym razem nie podsłuchuj, zgoda?

- Jasne, tato. Ale po śniadaniu pobawimy się klockami?

Wszedł do kuchni.

- Sam, znowu się zapędziłem. - Zawahał się. - Bez porozumienia z tobą powiedziałem im, że jesteśmy rodziną, a ty wczoraj mówiłaś, że nic nie jest pewne.

- Ale dzisiaj jest. - Uśmiechnęła się. - Kocham cię.

- Nie chciałem przyzwyczajać się do żadnej myśli. To się nie sprawdza.

- Na przykład do myśli, że mógłbyś zostać w Sydney?

- Uwielbiam Melbourne, ale skoro wy zapuściłyście tu korzenie, to i ja mogę. Moglibyśmy kupić ten dom. Pracowałbym w jakiejś przychodni. Kraj cierpi na brak lekarzy pierwszego kontaktu. Nie zostanę chirurgiem, ale tyle innych moich marzeń się ziściło... W ten sposób będę miał więcej czasu dla ciebie i Casey.

- Bardzo tego potrzebujemy. Tak się bałam, że znowu mnie zostawisz.

- Nigdzie się nie wybieram.

- Uwierzyłam ci dopiero dzisiaj w nocy, kiedy pojechaliśmy po Casey, przy czym zdałam sobie sprawę, jakim jestem tchórzem. Muszę podjąć to ryzyko. Tak jak i ty zaryzykowałeś, rozmawiając dzisiaj z rodzicami.

- Dawno im się to należało.

- Ja też dopiero zdałam sobie z tego sprawę. Zachęcałeś mnie, dawałeś mi prawo mówić, ale mnie było wygodniej być ofiarą, bo wtedy miałam cię więcej dla siebie. Wstyd mi za to, ale tak było. - Spuściła głowę. - Przepraszam.

- Sam, już się rozprawiliśmy z przeszłością. Przed nami cała przyszłość. - Podniósł głos. - Skrzacie, chodź tu, pora się przytulić! - Dziewczynka prędko skorzystała z okazji. - Casey, chcę cię o coś zapytać. Czy mogę z wami mieszkać?

- Jasne! Kiedy dostanę siostrzyczkę albo braciszka?

Wybuchnęli śmiechem.

- Casey, nie tak szybko! Może za rok. A może mama będzie chciała pracować.  
- Spojrzał na Sam.

Gestem dała mu do zrozumienia, że może już jest w ciąży.

- Chętnie nauczę się roli pani domu...

- Aha. Za kilka tygodni rozejrzę się za pracą... po rodzinnych wakacjach.

Uważam, że się nam należą.

- Drugi miesiąc miodowy - rozmarzyła się Sam.

- Fidzi czy archipelag Whitsunday? Podobno są tam ośrodki dostosowane do potrzeb rodziców z dziećmi. - Przypomniał sobie przerażenie córki w obcym miejscu. - Moglibyśmy zaprosić Serenę i Kate jako gości Casey.



- Serena na pewno się ucieszy - rzekła cicho Sam. - Casey, a może najpierw odwiedzimy dziadków w Melbourne?

Casey zeskoczyła z jego kolan i zaczęła skakać między stołem i blatem kuchennym.

- Tak! Ja chcę do dziadka i babci! I na Fidżi z Kate!

Brett nie posiadał się ze wzruszenia. Ma rodzinę. I nareszcie wszyscy będą razem.

To więcej niż cud.



RS